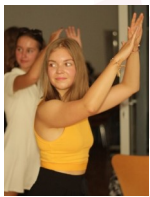


GONIEC

Z A M O Y S K I



Redakcja



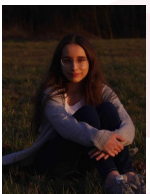
KAMIŁA PERKOWSKA
REDAKTOR NACZELNA, AUTORKA
„WIZYTA W WARSZAWSKIEJ
ZACHĘCIE”



MICHAŁ DENIZIAK
OPIEKUN REDAKCJI



AGNIESZKA MITURA
OPIEKUNKA REDAKCJI



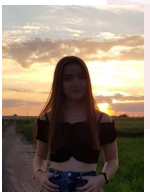
HANNA WÓJCICKA
ZASTĘPCZYNI REDAKTOR
NACZELNEJ



WIKTOR MALINOWSKI
GŁÓWNY GRAFIK



KARINA SZUTKO
PROJEKT OKŁADKI, AUTORKA
„WIELKANOCNA GĘŚ”



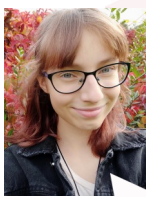
ALEKSANDRA ZIMOLZAK
OPIEKUNKA STRON INTERNETOWYCH



MARIA JECHNA
AUTORKA „HISTORIA GAZETY
SZKOLNEJ” I „NEW INUIT ART”,
KOREKTA



ZUZANNA ZEMBOWICZ
AUTORKA „LISICA” I „MIEJSCE
DOCELOWE”



MARTYNA NOWAK
AUTORKA „PROZEMATY IKARY JSKIE”
I „EXEGI MONUMENTUM”



KAROLINA CIESZKOWSKA
AUTORKA „DZEUS EX MACHINA-
CZĘŚĆ II”



AMELIA SZYMAŃSKA
AUTORKA „JAKO PIĘKNIEJSZE OD
KURY”



MARIA ZIEMKIEWICZ
AUTORKA „HISTORIA KANTYZMU -
ŹRÓDŁA, PODSTAWY I RECEPCJA
FILOZOFII IMMANUELA KANTA”



MACIEJ KANTORSKI
AUTOR „AD FONTESI CZYLI
WIZYTA W POLSKIM MUZEUM
WÓDKI”



MATEUSZ PŁOŃSKI
AUTOR „DLA BASI”



ALICJA KRZYŃSKA
ILUSTRACJE „LISICA” I „DLA BASI”



MARTA KLEPACZKO
AUTORKA „MYŚLĘ SOBIE CZASEM”



LAURA BIEROZA
FOTOGRAFIE „NIEBO”



IGNACY BOJARSKI
FOTOGRAFIE „SOLIDARNOŚĆ”

Spis treści

WSTĘP	<u>4</u>
JAJKO PIĘKNIEJSZE OD KURY	<u>5</u>
ANKIETA WIELKANOCNA	<u>6</u>
HISTORIA GAZETY SZKOLNEJ	<u>6</u>
HISTORIA KANTYZMU - ŹRÓDŁA, PODSTAWY I RECEPCJA FILOZOFII IMMANUELA KANTA	<u>8</u>
NEW INUIT ART	<u>13</u>
AD FONTES! CZYLI WIZYTA W MUZEUM POLSKIEJ WÓDKI	<u>14</u>
WIZYTA W WARSZAWSKIEJ ZACHĘCIE	<u>16</u>
KONKURS O PIÓRO ZAMOYSKIEGO I DŁUGOPIS ZAMOYSZCZAKA	<u>17</u>
MIEJSCE DOCELOWE	<u>17</u>
ŻABCIUUU	<u>22</u>
LISICA	<u>22</u>
PROZEMATY IKARYJSKIE	<u>28</u>
DLA BASI	<u>29</u>
DZEUS EX MACHINA - CZĘŚĆ II	<u>35</u>
MYŚLĘ SOBIE CZASEM	<u>37</u>
WIELKANOCNA GĘŚ	<u>37</u>
EXEGI MONUMENTUM	<u>38</u>
NIEBO	<u>39</u>
SOLIDARNOŚĆ	<u>42</u>
ZŁOTE USTA	<u>44</u>

Od redakcji

Odnoszę wrażenie, jak gdyby w ostatnich tygodniach życie nabierało coraz szybszego tempa. Wielkimi krokami zbliżają się matury, w naszej szkole odbyło się kilka angażujących społeczność szkolną inicjatyw, takich jak FAZA czy Dzień Patrona, a sytuacja na świecie pozostaje dynamiczna. Pogoda zdaje się odzwierciedlać ten stan rzeczy – jednego dnia świeci słońce, żeby następnego zaczął padać śnieg. Jeśli szukacie wytchnienia od tych wszystkich wydarzeń, to zdecydowanie warto sięgnąć po ten numer „Gońca Zamoyskiego”.

Tym razem przygotowaliśmy dla Was teksty o bardzo różnorodnej tematyce. Nie zabraknie nawiązań do świąt Wielkiejnocy – dowiecie się m.in. o historii pisanek. Poświęciliśmy również trochę miejsca na historię naszej gazety szkolnej czy kącik kulturalny. Na szczególną uwagę zasługują teksty nagrodzone w tegorocznym konkursie „O Pióro Zamoyskiego i Długopis Zamoyszcza”, które także opublikowaliśmy na łamach tego numeru. Standardowo czeka na Was ponadto poezja i Złote Usta. Mamy nadzieję, że lektura „Gońca” pozwoli Wam odetchnąć od nauki, dowiedzieć się czegoś nowego oraz poczuć wiosnę.

Przyjemności z lektury
oraz wesołych Świąt Wielkanocnych
Życzy redakcja wraz z naczelną,
Kamilią Perkowską

KONTAKT:



goniec_zamoyski



Goniec Zamoyski



goniec.dysk@gmail.com



Ze zbliżającą się Wielkanocą nieodłącznie wiążą się pewne tradycje, bez których nie możemy sobie wyobrazić tego święta. Tworzenie palemek, malowanie jajek, święcenie pokarmów i wreszcie śmigus-dyngus. Dużo rodzin traktuje robienie pisanek jako okazję do wspólnego spędzenia czasu, chwili spokoju w przedświątecznym zamieszaniu – przecież dom musi być idealnie przygotowany dla ciotki, która bez dwóch zdań przeprowadzi coroczny świąteczny test. Z taką perspektywą malowanie jajek może okazać się bezcenną tradycją. Jednak nie każdy wie, skąd wziął się ten zwyczaj i co oczywiście najważniejsze – jak nazywają się poszczególne techniki zdobienia jajek.

Jajko w kulturze chrześcijańskiej jest symbolem odradzającej się przyrody, życia, a także wiary w zmartwychwstanie Jezusa. Istnieje legenda, że gdy Maria Magdalena wróciła do domu po ukrzyżowaniu Chrystusa, znalazła pod domem czerwone jajka. Jednak zwyczaj ich ozdabiania nie został wymyślony przez chrześcijan, wręcz przeciwnie – podobno był zakazany w ich kulturze aż do XII wieku. Najstarsze pisanki odkryto na terenach Mezopotamii, jednak zwyczaj był obecny również w Egipcie, cesarstwie rzymskim czy Chinach. Przykładowo Persowie wręczali sobie złożone jaja w pierwszy dzień wiosny. Rzymianie przekazywali je jako symbol energii i życia, mający dawać szczęście i ochronę przed chorobami. Jeśli chodzi o Polskę, zwyczaj ten był obecny już w X wieku. Archeolodzy znaleźli pozostałości ozdobionych skorupki w trakcie wykopalisk na opolskiej wyspie Ostrówek. Według staropolskiej tradycji pisanki tworzyły wyłącznie kobiety w dniu Wielkiego Piątku. Cały proces miał lekko miłosne zabarwienie, gdyż gotowe jajka były wręczane jako prezent dla osoby, która podobała się twórcy. Innym niezwykle użytecznym zastosowaniem pisanek była wymiana w lany poniedziałek, kiedy to dziewczęta dawały je chłopcom, aby ci nie oblewali ich wodą. Teraz malowanie jajek jest głównie przyjemną tradycją, którą może wykonywać każdy, bez względu na płeć czy intencje.

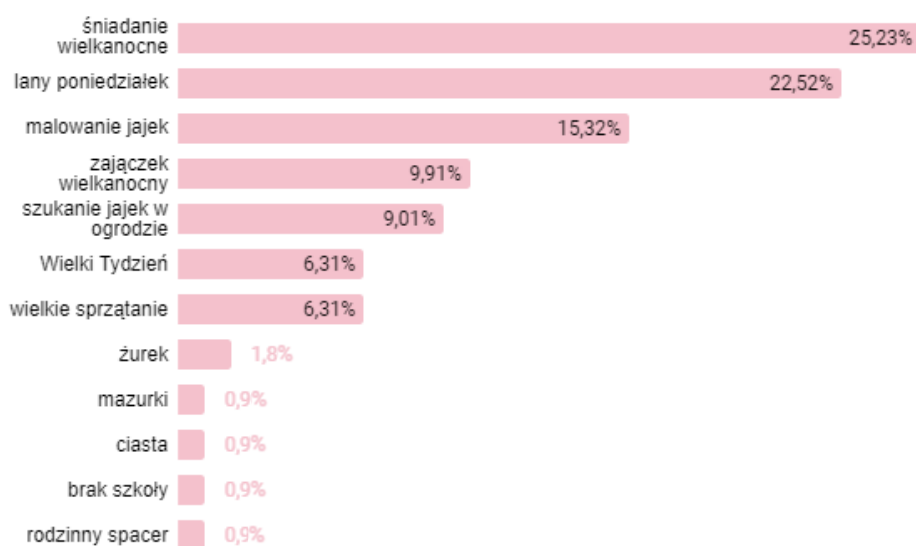
Pisanki, kraszanki, drapanki – pewnie każdy słyszał te nazwy, lecz czy kiedykolwiek zastanowił się nad ich znaczeniem? Warto znać różnice pomiędzy poszczególnymi technikami, chociażby żeby zyskać dodatkowe punkty na sprawdzianie wcześniej wspomnianej ciotki. Najstarszym sposobem zdobienia jaj jest rysowanie woskiem po ich skorupkach, a następnie zanurzenie w zabarwionej wodzie. W wyniku tego procesu powstaje pisanka. Jeżeli jajko zostanie po prostu zanurzone w kolorowej wodzie, uzyskiwanej za pomocą gotowania łupin cebuli, soku z buraka lub dawniej kory młodej jabłoni, wtedy uzyskujemy kraszankę. Gdy z kraszanki zaczniemy symetrycznie zeskrobywać ostrym narzędziem kolor, stworzona zostaje drapanka. Istnieje również nazwa na jajko oklejone płatkami kwiatów lub nitką – naklejanka. Nie należy jej pod żadnym pozorem mylić z nalepianką, do której stworzenia wykorzystuje się przyklepany papier. Dla bardziej zaawansowanych adeptów sztuki malowania jajek wyzwaniem może być stworzenie wydmuszki. Ten rodzaj ozdoby jest znacznie trwalszy od zwykłych pisanek i może towarzyszyć nam na stole przez wiele lat. Wydmuszka ma swoje wymagania – do jej zrobienia potrzebne jest jajko o gładkiej i równej skorupce. Nie będę tutaj opisywać całego procesu. Na gotowych podjęciu rękawicy czeka cały wachlarz samouczków w Internecie, a jeżeli ktoś ma szczęście, może poprosić członka rodziny ze starszego pokolenia o naukę.

Tradycja malowania jajek doczekała się swoich muzeów (Muzeum Pisanek w Ciechanowcu), a nawet pomników (dwutonowy pomnik pisanki w Kanadzie). Coroczne dekorowanie skorupki cieszy się niesłabnącą popularnością, a poszczególni mistrzowie prześcigają się w kunszcie swoich prac. Jest to piękny zwyczaj, który nie powinien zostać zapomniany. W chwilach pośpiechu, codziennego zapracowania warto poświęcić przedświąteczny czas na relaks, wyciszenie i odzyskanie radości z najmniejszych czynności.



Ankieta wielkanocna

Co najbardziej lubisz w Świątach Wielkanocnych?



Historia gazetki szkolnej

Maria Jechna

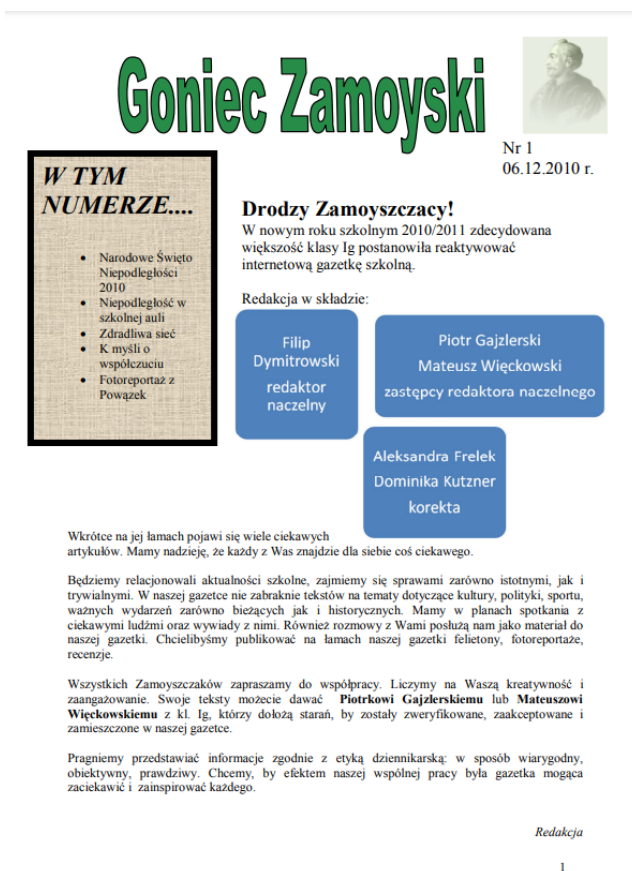
Do Zamoyskiego od zawsze trafiało wielu wspaniałych ludzi. Niektórzy zdobywali międzynarodową sławę i uznanie. Byli wśród nich także pisarze – nasze liceum ukończyły osobistości, takie jak Melchior Wańkiewicz czy Julian Ejsmond. Na wszystkich kreatywnych czeka miejsce w redakcji szkolnej gazety (nie gazetki, to poważne zadanie wymagające poważnej nazwy). Przez 117 lat istnienia szkoły na Smolnej ukazywało się wiele gazet, np. „Życie Szkoły” lub „Smuty bagienne”. Jak to wszystko się zaczęło?

Szkołę na Smolnej założono w 1905 r., a już dwanaście lat później – w 1927 r. został wydany pierwszy numer „Życia Szkoły”. Była to, jak do tej pory, najdłużej wydawana gazeta – wytrwano przy niej (z przerwami) aż 40 lat! W latach 60. przestano tworzyć

„Życie Szkoły” i przez długi czas nie powstawało nic nowego. W latach 90. Zamoyszcacy ponownie spróbowali swoich sił jako dziennikarze. Od 1992 do 1996 r. wydawano „Paradoks”. Ten tytuł otrzymał jedno z pięciu przyznanych ex aequo pierwszych nagród w drugiej edycji konkursu na najlepsze gazety szkolne zorganizowanego przez „Forum gazet szkolnych” w 1994 r. Przez krótszy lub dłuższy czas wydawano „Chwilę”, „Wyzwanie”, „Smuty bagienne” oraz „Brak”, które cieszyły się wśród uczniów żywym zainteresowaniem. Jednak żaden z powyższych tytułów nie utrzymał się dłużej niż kilka lat – nie zachowywano ciągłości i w efekcie często pojawiały się nowe, nietrwałe pomysły. Przełom nastąpił w grudniu 2010 r., kiedy powstał pierwszy numer „Gońca Zamoyskiego”. Tę gazetę wytrwale wydajemy już ponad jedenaście lat (oby przyszli Zamoyszcacy nie stracili zapału i dalej pielęgnowali ten zwyczaj). „Goniec” jest miesięcznikiem i staramy się pilnować terminów publikacji nowych numerów, jednak czasem przy nawale obowiązków szkolnych może się zdarzyć, że na kolejną publikację trzeba będzie czekać dłużej.

Jesteśmy otwarci na nowych dziennikarzy, fotografów, ilustratorów i grafików – dla każdego znajdzie się miejsce! Pisanie do gazety szkolnej nie jest obciążające, ponieważ nie wymaga się pisania do każdego numeru. Możesz napisać, co chcesz, kiedy chcesz i ile chcesz, bo nic cię tu nie ogranicza. Dlatego nie wahaj się dołączyć do naszego grona i próbować swoich sił! Szkoła średnia to idealny moment na próbowanie nowych rzeczy. Może odkryjesz tu swoją ukrytą pasję dziennikarską?

Szata graficzna „Gońca Zamoyskiego” z czasem uległa znaczącym zmianom. Na poniższych zdjęciach widzimy okładki pierwszego i najnowszego numeru „Gońca”.



Pierwsze „Złote Usta” pojawiły się w listopadzie 2011 r. Od tego czasu zabawne cytaty nauczycieli pojawiają się na końcu każdego numeru.

ZŁOTE USTA

Każdemu zdarza się powiedzieć coś, co zabrzmi nie do końca zgodnie z pierwotnym zamiarem. Często w taki sposób powstają różne niezapomniane cytaty, od których na twarzy od razu gości uśmiech. Od wielu, wielu lat powszechnie wiadomo, że naturalny, niezwykły dar do wypowiadania kultowych kwestii posiadają szacowni przedstawiciele rady pedagogicznej. To właśnie ich myśli, przez lata skrętnie spisywane na marginesach i końcach zeszytów, zostały zebrane w tym dziele. Naszym zamiarem nie jest ośmieszenie żadnego nauczyciela, a jedynie przypomnienie zabawnych (i nie tylko) momentów podczas lekcji, które nasi złotouści pedagodzy urozmaicali swoimi uwagami.

„Ja już nie wiem, jak mam wam to wytłumaczyć, może jak dzieciom w przedszkolu? Hop, hop, hop, mełan, mełan!” – kicająca **Pani Profesor Aleksandra Litwin** tłumaczka humanom iście trudną chemię organiczną

„Życzę wam, żebyście byli na moim miejscu. Życzę!”

„Mariusz, nie spać! Chrapniesz i cały sufit spadnie nam na łepetyny!”

„Wojtek, ja wiem, że jesz, nie myśl, że takim skrytożercą jesteś! (po chwili) O! teraz skrytopijca!”

„Teraz wam przedstawię rysunek. Uwaga, rysunek ten nie istnieje w waszym podręczniku!”

Pani Profesor Elżbieta Lesiak

- I Kraków staje się stolicą Polski...-
Uuuu...! [komentarz warszawskiego lobby z klasy]
- A to co, ćwiczenie samogłosek?

„Grecka kobieta była zawsze córką albo mężem.”

- To po co Ci królowie robili sobie tyle dzieci?

- No jak nie ma TV i komputera, to coś trzeba robić!

„Ideal starożytnej kobiety - szersze biodra: lepsza płodność i poród, no bo jak wąskie, to wiadomo, coś tam się jeszcze zaklinuje...”

„Doda czy Mandaryna... dla mnie to i tak wszystkie denne kopie Madonny.”

Pan Profesor Przemysław Poniatowski

„Twarz nieskażona procesem myślowym” – komentarz **Pana Profesora Michała Deniziaka** o napotkanym strażniku miejskim

Czy Wasi nauczyciele powiedzieli coś, co zapadło wam w pamięć? Ślijcie cytaty na naszego emaila: gzamoyksi@vp.pl



Historia kantyzmu - źródło, podstawy i recepcja filozofii Immanuela Kanta

Maria Ziemkiewicz

Kant z pewnością znajduje się w gronie dziesięciu najważniejszych filozofów wszech czasów. Stworzony przez niego system do tej pory stanowi bazę dla wielu nowopowstających teorii filozoficznych, a przynajmniej jest dla nich ważnym punktem odniesienia. Same poglądy Kanta wciąż pozostają przedmiotem badań, a rozwijający je, późniejsi myśliciele zajmują bardzo ważne miejsce w tradycji filozoficznej. Mówi się o tym, że w XIX wieku kantyzm niemal całkowicie zdominował myślenie o filozofii, nieoficjalnie stając się obowiązującą doktryną na uniwersytetach. Często porzucały one wówczas badanie metafizyki i ontologii na rzecz pełnego skupiania się na epistemologii afirmowanej przez Kanta oraz jego kontynuatorów. Taki klimat panował w myśli europejskiej przez około sto lat, czego konsekwencjami są współczesne nurty postkantowskie, często bardzo daleko odbiegające od pierwotnych założeń, z których wychodził sam Immanuel Kant, jak np. filozofia rzeczywistości Nicolai Hartmanna.

Obecnie kantyzm (w rozumieniu ogółu nurtów i idei wywodzących się z rozważań Kanta) kojarzony jest zwykle albo z XIX-wiecznym idealizmem niemieckim albo tzw. neokantyzmem, do którego zalicza się większość niemarksistowskich filozofów

działających w Niemczech przed wojną. Często pomijane jest jednak to, jak wielki wpływ ci drudzy mieli na historię filozofii swoim oddziaływaniem na młodsze pokolenie. Większość współczesnych filozofów niemieckich, zarówno analityków, jak i kontynentalistów została „wychowana” przez szkoły neokantowskie. Nie można ignorować tego faktu, podchodząc do analizy XX-wiecznych projektów kontynuowania epistemologii lub wskrzeszania metafizyki. W obu nurtach jednym z centralnych problemów staje się teoria Kanta, a odwołanie od niej niejako samo w sobie sytuuje już myśliciela po którejś stronie „sporu o metafizykę”, rozpoczętego wraz z idealizmem niemieckim. Inną kwestią jest mniej oczywista, ale możliwe, że nawet bardziej znamienita recepcja Kanta zawarta w myśli filozofów pozaakademickich, takich jak Schopenhauer (za życia mało popularny, zwykle zestawiany z bardziej uznanym wtedy kantystą – Heglem), który swoje rozumienie fenomenów i noumenów przedstawił w „Woli i przedstawieniu”. Zostało ono przejęte, ale i zmodyfikowane przez Nietzschego, który, tworząc kolejną interpretację kantowskich kategorii, uzasadniał aktywny nihilizm, chociażby w „Woli mocy”. Korzystając z recepcji zawartej w tym dziele, Michael Foucault stworzył koncepcje społeczeństwa opartego na gromadzeniu woli mocy, która równoznaczna jest u niego z władzą. Takich łańcuchów powiązań, prowadzących od Kanta do najnowszej filozofii, mogącej na pierwszy rzut oka nie mieć wiele wspólnego z XVIII-wieczną epistemologią, jest mnóstwo. Filozofia współczesna w ogromnej mierze bazuje na kantyźmie, do czego wróć jeszcze w tym tekście. Najpierw pragnę jednak cofnąć się do samego Immanuela Kanta, aby zrozumieć, dlaczego właściwie jego filozofia jest tak wyjątkowa i wpływowa. Myślę, że jednym z powodów tego jest czas, w którym przyszło tworzyć Kantowi. W oświeceniu filozofia, wbrew temu, co może się wydawać, przeżywała bardzo burzliwy okres. Po Kartezjuszu i rozpoczętym już przez niego „zwrocie epistemologicznym” jednym z najważniejszych problemów stał się spór między racjonalistami a empirystami. Zajmował on centralne miejsce wśród problemów filozoficznych rozważanych na uniwersytetach, podczas gdy poza nimi coraz popularniejszy stawał się Rousseau, propagujący wartości przeciwne encyklopedystom i najważniejszym niemieckim intelektualistom epoki. Kant w tych okolicznościach okazał się obrońcą idei oświeceniowych, jednak swoją pochwałą dla nich wywiódł z zupełnie innych źródeł niż chociażby Wolter. Nie opowiedział się po stronie racjonalistów, bo uważał, że poznanie ogranicza się wyłącznie do doświadczenia, ale za to, wbrew temu, co twierdzili empiryści, nie pochodzi wyłącznie z doświadczenia. Taka podwójna krytyka skrajnych poglądów jest podstawą epistemologii Kanta, który przyjął stanowisko leżące między nimi. Fakt, iż Kant rozpoczął swój system od krytyki obydwu poglądów, jest powodem, dla którego często określa się jego filozofię mianem filozofii krytycznej lub krytycyzmu. Zdaniem tego myśliciela to właśnie myślenie krytyczne jest najwyższą formą myślenia, na której powinniśmy się skupiać, bo tylko w ten sposób możemy dojść do prawd (zauważalne jest w tym miejscu nawiązanie do ojca racjonalizmu i jego sceptycyzmu metodologicznego, który jednak nie jest zawsze przestrzegany przez Kanta), a to powinno być dla człowieka oświeceniowego najważniejsze. Kant broni więc racjonalnych ideałów oświecenia nie z perspektywy racjonalisty epistemologa, dogmatyka, który traktuje własną doktrynę jak narzędzie intelektualne, ale racjonalisty w każdej dziedzinie życia intelektualnego, który swój rozum ceni i rozwija tak bardzo, że może przekroczyć samą tradycję racjonalizmu – i robi to. Uznaje, że aby doszło do aktu poznania, musi być zaangażowany zarówno element sensualny, który pozwoli człowiekowi na „dostrzeżenie” przedmiotu, jak i element intelektualny umożliwiający „pomyślenie” go. Pomimo że takie podejście do poznania może dziś nie wydawać się niczym oryginalnym, a wręcz przeciwnie, dość zdroworozsądkowym, to Kant dokonał w swoich czasach wielkiego

przełomu. Jego teoria syntezująca racjonalizm z empiryzmem (już z tego tytułu budząca na początku kontrowersje i nieufność) okazała się tak trafna i dobrze przyjęta przez filozofię niemiecką, że zmieniła rozumienie **doświadczenia**.

U Kanta staje się ono niemal synonimiczne z poznaniem, oznacza pojawienie się jakiejś idei w ludzkim umyśle, będące reakcją na zmysłowy odbiór otaczającego świata. To, co umożliwia przetworzenie zmysłowego postrzeżenia na idee w ludzkim umyśle, zostało przez Kanta nazwane **kategoriami intelektu**. Jest to dwanaście sposobów, przez które podmiot poznający opracowuje zbadane empiria. Są one aprioryczne, ponieważ znajdują się w umyśle jeszcze przed doświadczeniem i je umożliwiają. U Kanta ważną rolę odgrywa podział sądów (wytworów intelektu) na **a priori** i **a posteriori**, bo ułatwia on filozofowi docieranie do faktycznych transcendentaliów drogą eliminacji wszystkich innych idei, które transcendentaliami nie są. Jeszcze do tego przejdę, ale postaram się najpierw wyjaśnić tę znaczącą różnicę.

Sądami a priori Kant nazywa idee wrodzone, istniejące w ludzkim umyśle od samego początku (do pewnego stopnia nawiązuje wtedy do natywistycznych poglądów Kartezjusza). Odróżnia je od sądów a posteriori, które, jak wynika z nazwy, pojawiają się w myśle na skutek doświadczenia. Kant wprowadził do klasyfikacji sądów także podział na syntetyczne i analityczne. Te pierwsze konstruują nowe znaczenie, orzekają o podmiocie coś nowego, a drugie tego nie robią, tylko stanowią wykładnię dla tego, co już było w podmiocie zawarte, odpowiadają za przetwarzanie i rozumienie istniejących już idei. Kategorie intelektu znajdują się więc w tym podziale po stronie sądów syntetycznych a priori, czyli tych, zdaniem Kanta, najciekawszych, na których powinna skupić się analiza ludzkiego umysłu. Myśliciel tłumaczył to faktem, że w jego modelu epistemologicznym bez kategorii intelektu człowiek nie byłby w stanie poznać nic z rzeczywistości, która go otacza. Obraz doświadczanego świata jest bowiem w umyśle każdego człowieka przefiltrowany przez siatkę percepcyjną zbudowaną z dwunastu kategorii intelektu. Właśnie ze względu na to Kant odrzucił dominującą, a właściwie do jego czasów jedyną, koncepcję poznania, w której przedmiot kształtuje swój odbiór, a podmiot jest względem tego całkowicie bierny.

Ten filozof stwierdził, że wspomniana relacja jest obustronna, bo podmiot w postaci ludzkiego intelektu wpływa na odbiór danej mu rzeczywistości. Było to rewolucyjne dla teorii poznania do tego stopnia, że w historii filozofii wspomina się o „**przewrocie kopernikańskim**”. Dla filozofów XVIII wieku podobnie szokujące było uznanie relacji poznawczej przedmiotu z podmiotem za obustronnie oddziaującą, a więc podmiotu za warunek przedmiotu, jak dla XVI-wiecznych astronomów uznanie teorii heliocentrycznej. Z tego też powodu Kant nie mówi nigdy o „podmiocie” w takim znaczeniu, jakie utarło się w tradycji epistemologicznej. Wprowadza za to podział na fenomeny i noumeny, co jest zapewne jednym z jego największych osiągnięć, mających ogromny wpływ na dalszą filozofię. Te słowa są przez niego używane, aby zaznaczyć różnicę między faktyczną rzeczą (np. realnym zjawiskiem fizycznym zachodzącym w przyrodzie) a ideą tej rzeczy, jaka pojawi się w umyśle człowieka. Ta druga to **fenomen**, który możemy poznawać i badać (na tym filozofia zaczęła skupiać się sto lat później, za sprawą Husserla, który wykorzystywał tę teorię Kanta w sposób bardzo metodologiczny). Nieodkrytą dla człowieka, niepoznawalną stroną fenomenu jest **noumen**. Czasami określa się go mianem „rzeczy samej w sobie”, ale moim zdaniem używanie takiej nazwy jest dość ryzykowne. Sugeruje ona jakoby Kant wprowadzał niemal ontologiczny dualizm, w którym istnieje realna różnica między fenomenami a noumenami. Prawda jest taka, że oba te abstrakty opisują jedno prawdziwe zjawisko, a podział pojawia się dopiero, kiedy pojawia podmiot poznający. Kant korzysta z niego, aby uzasadnić swój projekt filozoficzny, czyli **idealizm**

transcendentalny. Tak określa się całość dorobku intelektualnego Kanta, który w swojej filozofii, po dojściu do wniosku, że poznanie odbywa się tylko w relacji z fenomenami, za sprawą sądów syntetycznych a priori, postanowił badać je, aby odnaleźć **formalne warunki możliwości poznania**. Same nigdy nie stają się jego przedmiotem, ale są konieczne, aby w ogóle zaszło. Inną nazwą na nie są właśnie **transcendentalia**.

Immanuel Kant jako pierwszy epistemolog skupił się właśnie na nich, a nie na samym poznaniu. Nie próbował dociekać mechanizmów procesu doświadczania, czy to empirycznego, czy rozumowego, ani nawet momentu połączenia. Wykonał ogromny krok w tył, na który nie odważył się nikt przed nim i postawił fundamentalne pytanie o to, co w ogóle umożliwia nam poznawanie. Odpowiedaniem na to pytanie filozofia zajmuje się do dziś, a, jak już wspominałam we wstępie, przeżywała nawet okres, w którym nie zajmowała się prawie niczym innym. Kant postulował **zniesienie metafizyki**, bo ta, jego zdaniem, jako dyscyplina zajmująca się badaniem noumenów, była od początku skazana na porażkę. Próby odpowiadania na pytania pokroju: „z czego zbudowany jest świat?” albo „czy Bóg istnieje?”, a więc związane ze strefą całkowicie wykluczoną z ludzkiego poznania, wydają mu się nieistotne w obliczu pytania o genezę samego poznania, które jest przecież naszą jedyną rzeczywistością. Takie podejście zostało z wielkim entuzjazmem przyjęte przez europejskich filozofów i pozostawiło ważki ślad w historii filozofii.

Nurty kantowskie, których powstało wiele, można by na osi czasu wpisać w swego rodzaju sinusoidę obrazującą bliskość doktryny nurtu z poglądami praojca. Za najbardziej bezpośredniego kontynuatora Kanta uznaje się jego ucznia, Johanna Fichtego, który sam nie stronił od tego tytułu i faktycznie pozostawał przez całe życie bardzo blisko teorii Kanta. Nie rozwinął jej jednak znacząco, bo skupił się głównie na teorii wiedzy, która, pomimo że do tej pory poważana jest w wielu kręgach akademickich, to nie odegrała ważnej roli w rozwoju kantyzmu. Jednak jej autor tak, bo to właśnie on zapoznał pozostałych **idealistów niemieckich** - Schellinga i Hegla - z Kantem. Znacznie większy sukces odniósł ten drugi, stając się na bardzo długo jednym z najważniejszych myślicieli, faktycznie oddziałujących na to, co dzieje się i to nie tylko na uniwersytetach. Jego system dialektyczny (oparty w ogromnej mierze na Kancie) był bardzo wyrazisty i doczekał się równie wyrazistej recepcji. W połowie XIX wieku heglizm zaczął być utożsamiany z marksizmem i pomimo iż Hegel zmarł, zanim Marks ukończył 20 lat, i przede wszystkim był idealistą, a doktryna Marksa nazywała się materializmem dialektycznym, to wątki kantowskie zaczęły ginąć w masie innych powiązań dostarczanych przez filozofię Hegla. Jej obowiązującą recepcją stała się właśnie recepcja marksowska, która z czasem doprowadziła do niemal pełnego wymazania kantowskich ideałów z teorii Hegla.



biografia24.pl/immanuel-kant

Wśród wielu niemieckich intelektualistów, filozofów związanych z kantyzmem, jak np. Lange, Helmholtz czy Lask, uważających go za wciąż bardzo wartościowy nurt, budziło to sprzeciw. Nie podobało im się, jak idealizm niemiecki z czasem całkowicie zatracił swój idealizm, który dla Kanta był najważniejszy, i winę za to zrzucali oczywiście na Hegla. Wytworzyli więc skierowany przeciw niemu postulat „powrotu do Kanta”, który realizowali przede wszystkim na mało znanych wtedy uniwersytetach, starając się odwzorowywać ze studentami pierwotne założenia Kanta i ich konsekwencje. Nurt ten został nazwany **neokantyzmem**, bo jego projekt był niemal bliźniaczy do samego Kanta, tylko realizowany później. Z jednej strony, można by rzec, że był to najlepszy okres dla kantyzmu, z którego sam Kant byłby najbardziej dumny, ale z drugiej strony, nie był to okres rewolucyjny ani przesadnie odkrywczy. Z czasem, kiedy neokantyści zyskiwali coraz więcej zwolenników, ich teorie stały się poważane, a nawet nauczane, ale przez ich ścisłe podobieństwo do znanej w tamtych czasach wszystkim intelektualistom doktryny Kanta – nigdy nie stanowiły obiektu kontrowersji, nie posiadały wielu żarliwych zwolenników ani ostrych krytyków. Powstały dwie główne szkoły neokantyzmu: marburska i badeńska, a w nich rozwijało się symultanicznie kilkanaście pomniejszych kierunków badania Kanta. Taki spokojny stan rzeczy został jednak gwałtownie zerwany przez wojnę, po której neokantyzm zaczął się spotykać z wielkim ostracyzmem. Niemieckie elity intelektualne nie chciały mieć już nic wspólnego z uporządkowaną doktryną „starego świata” i bardzo szybko stała się ona zupełnie niepopularna. Odcinający się od niej młodzi filozofowie, jak Husserl, Frege, Heidegger czy Carnap zapuszczali się myślą w zupełnie inne i różne regiony, ale pewien czynnik ich łączył, a mianowicie wszyscy zostali wykształceni przez neokantystów. Zmierzam oczywiście do tego, że niemiecka filozofia XX wieku niezależnie od tego, czy zaliczana do kontynentalnej, czy do analitycznej, jest podszyta neokantyzmem. Jego wpływ jest intensywny do tego stopnia, że mówi się o trzeciej fali kantyzmu, która miałaby nosić miano **postneokantyzmu**. Do tego nurtu, rzecz jasna, nie zalicza się wszystkich byłych uczniów neokantystów, ale tę część z nich, która uświadomiła sobie kantyzm leżącym u podstaw ich tożsamości filozoficznej i wykorzystała go do zbudowania filozofii wcale nie bliskiej temu, co poznali na uniwersytecie. Postneokantyzm skłania się bowiem w kierunku ontologii, a za jego głównych przedstawicieli uważa się wspomnianych już przeze mnie Heideggera i Hartmanna. Obaj zyskali wykształcenie filozoficzne w Marburgu (w tamtym czasie był on stolicą neokantyzmu), a następnie pracowali tam jako wykładowcy. Dla Heideggera okres marburski jest wczesnym okresem kariery, dla Hartmanna okresem rozkwitowym, ale dla obu tych filozofów równie ważne stały się wyniesione z niego poglądy. Może się to wydawać dziwne, ponieważ obaj zajęli się metafizyką i ontologią (najczęściej metafizykę przypisuje się Hartmannowi, a ontologię i ontykę Heideggerowi, lecz nie można zapominać, że Heidegger napisał także dzieło „Kant a problem metafizyki”), ale to właśnie dlatego postneokantyzm wydaje mi się najciekawszą odsłoną kantyzmu. Traktuje on Kanta poważnie, ale nie dogmatycznie, i syntezuje jego poglądy z innymi filozoficznymi i psychologicznymi dokonaniem, do których ten nie miał dostępu.

Jest to jednak wyłącznie moje zdanie i wydaje mi się, że wszystkie oblicza kantyzmu, a także wspomniane przeze mnie na początku, mniej bezpośrednie recepcje Kanta warte są uwagi. Trudno przechodzić obojętnie wobec konstrukcji myślowej, która odbiła się tak szerokim echem, więc najlepiej zweryfikować ją samodzielnie.



Co nowego w warszawskich muzeach? New Inuit Art

Maria Jechna



PAŃSTWOWE MUZEUM ETNOGRAFICZNE

(ul. Kredytowa 1)

Ekspozycja czasowa: do 30 kwietnia można zobaczyć wystawę *New Inuit Art*. Współczesna Sztuka Inuitów z Kinngait. Sztuka rdzennej ludności obszarów arktycznych jest bogata w różnorodne podejścia do przedstawiania historii, ziemi, środowiska, dzikiej przyrody, tradycyjnych praktyk i mitologii. Wystawa skupia się na inuickiej sztuce drugiej połowy XX w. Zaprezentowano tu 36 dzieł wykonanych przez 10 artystów z grupy West Baffin Eskimo Cooperative. W związku z wojną w Ukrainie wystawa zakończy się charytatywną licytacją online dwóch prac przez portal Artinfo.pl, z której cały dochód zostanie przekazany na pomoc humanitarną dla Ukrainy. W ten sposób rdzenni artyści z Kanady wesprą mieszkańców Ukrainy.

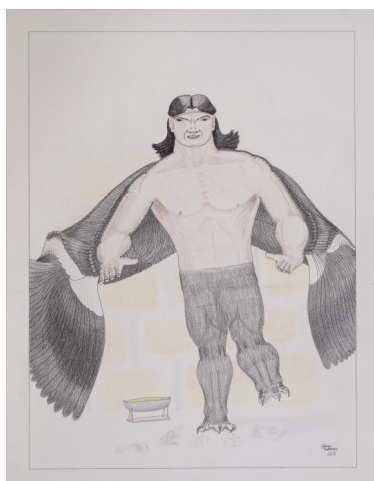
Muzeum możecie odwiedzić:

wt., śr. i pt. 11:00 – 19:00

sob. i nd. 12:00 – 18:00

czw. 11:00 – 17:00

W czwartki wstęp jest bezpłatny.



Więcej informacji:

<https://ethnomuseum.pl/wystawy/new-inuit-art-wspolczesna-sztuka-inuitow/>



Ad fontes! czyli wizyta w Muzeum Polskiej Wódki

Maciej Kantorski

Wielce szanowny Czytelniku! Jeżeli zachęcony tytułem zacząłeś czytać ów felieton w nadziei na opis moich niepoprawnych i buńczucznych przygód, to obawiam się, że muszę Cię zawieść. Zwiedzanie z moim znajomym zakończyliśmy samodzielnie i, o dziwo, bez eskorty muzealnego ochroniarza. Naszym przewodnikiem nie był obdarty praski kłoszard będący pod wpływem lokalnych wyrobów, a młody i zadbany dżentelmen odziany w białą koszulę oraz skórzane mokasyny. I wreszcie, po niezwykle drobiazgowej i dogłębnej inspekcji muzealnych eksponatów, z żalem zmuszony jestem poinformować Cię, drogi czytelniku, że w muzeum zwiedzający nie znajdą wielkiego kranu, krynicy wszelkiej pociechy, z którego strudzeni wędrownką po muzealnych komnatach wędrowcy mogliby zaczerpnąć natchnienia i animuszu. Niemniej jednak, 55 złotych wydane na pakiet zwiedzania o enigmatycznej nazwie „Koneser Premium” to była dobra inwestycja. Dlaczego? Zapraszam do lektury!

Muzeum miałem okazję obejrzeć od zewnątrz przy okazji zwiedzania wystawy prac Mistrza z Sanoka w praskim „Koneserze”. Natchniony surrealizmem Beksińskiego pragnąłem od razu rozpocząć kolejne zwiedzanie, lecz jak się okazało wizyta w Muzeum Wódki Polskiej wymaga wcześniejszej rezerwacji. Niepocieszony ruszyłem do domu, by wrócić do tego interesującego przybytku miesiąc później, uzbrojony w dowód osobisty i skromny budżet na ewentualne pamiątki (oraz w asyście kolegi, który owe pamiątki miał pomóc mi przetransportować). Tak więc wmaszerowaliśmy do budynku odziani w powagę i profesjonalizm. Wnętrze doprawdy olśniewało – granit, fontanna, modernizm w trzech aktach ludziom objawiony.

Zachwyty i kontemplację przerwały gniewne pokrzykiwania dobiegające od strony recepcji. „Z tym niestety nie możemy pana wpuścić na wystawę”. Wąsaty mężczyzna, który przyszedł wraz z żoną, wydawał się równie nieprzejednany, co oburzony zaistniałą sytuacją. „Będzie mógł pan odebrać swój baniak po zakończeniu zwiedzania”. To również nie uspokoiło herosa, który na potrzeby tej opowieści zostanie ochrzczony imieniem „Andrzej”. Impas w negocjacjach przerwało nadejście przewodnika, który zgarnął Andrzeja z małżonką, grupkę studentów, mojego kolegę i mnie na projekcję filmu, rozpoczynającego zwiedzanie. Tam też mieliśmy okazję zapoznać się z historią marki Wyborowa, realiami produkcji wódki w PRL-u oraz prześledzić mniej lub bardziej udane próby eksportu naszego narodowego specjału na rynki zagraniczne.

Następnie przyszła pora na zwiedzanie sal muzealnych. Nie będę silić się na pietyzm, opisując każdy eksponat z osobna, gdyż nie leży to w charakterze tego felietonu. By dać świadectwo prawdzie, muszę jednak przyznać, że wystawa zrobiła na mnie duże wrażenie. To nie liczba zgromadzonych butelek, ale koncept i przemyślany rozkład pomieszczeń sprawia, że zwiedzanie Muzeum Polskiej Wódki to czysta przyjemność.

Wystawa prócz nieoczywistych faktów dotyczących historii wódki na ziemiach polskich co krok serwuje nam rozmaite ciekawostki, anegdotki czy porzekadła związane z tym jakże szlachetnym napojem. Zwiedzający ma szanse przeanalizować proces ratyfikacji, obejrzeć kartę napojów z XVII-wiecznej oberży czy do woli bawić się licznymi multimedialnymi ekranami. Wspomnieć należy także o fachowej wiedzy naszego przewodnika, nawet Andrzej (samozwańczy ekspert od wszelakich napojów z procentami, który za punkt honoru postawił sobie udowodnienie, że „wie więcej niż ci wszyscy p r z e w o d n i k o w i e razem wzięci”) nie potrafił go zaskoczyć, ani tym bardziej przegadać. A przyznać trzeba, że trwał on niezłomnie w swoich wysiłkach. Ku zażenowaniu reszty grupy.

Po obejrzeniu wszystkich eksponatów w muzeum zwiedzający mają okazję wziąć udział w kwintesencji zwiedzania Muzeum Wódki – konsumpcji. Uroczyście wkroczyliśmy więc do ostatniego pomieszczenia. Pakiet Premium pozwolił nam na degustację czterech różnych wódek – dwóch żytnich, ziemniaczanej i pszenicznej. Z zachowaniem wszelkiego ceremoniału i odpowiedniej kolejności. Przed nabraniem płynu do ust, przewodnik zalecił skupienie się najpierw na walorach zapachowych każdego z napojów. Trunki serwowane są w temperaturze pokojowej, by poczuć wyrazistą fakturę smaku i najsubtelniejsze aromaty. Po spróbowaniu każdej z wódek, mistrz ceremonii radził, by odczekać do trzydziestu sekund, a następnie uraczyć nasz przełyk wodą, by przygotować zmysły na kolejną fazę doznań. Ku świętemu oburzeniu Andrzeja. Antybohater naszej historii ogłosił wszem i wobec, że przewodnik demoralizuje młodzież i miesza jej w głowie. On, prosty Polak (jak sam siebie określił, z którym to określeniem nie zamierzam polemizować) jest zobowiązany do pokazania wszystkim, jak „to” się robi. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, pochłonął zawartość czterech kieliszków. Mimo próśb małżonki, odmówił przyjęcia wody, po czym opuścił salę. Widzieliśmy go potem, jak siłował się z zabytkowym zaworem w sali czwartej podczas prób napełnienia drogocennym trunkiem odzyskanego podstępem baniaka...





Wizyta w warszawskiej zachęcie

Kamila Perkowska

Warszawska Zachęta często staje na mojej drodze. W ciągu ostatnich dwunastu miesięcy byłam tam cztery razy, w tym dwa zupełnie spontanicznie. Ale czym tak właściwie jest tajemnicza Zachęta? To galeria sztuki współczesnej, która znajduje się przy placu S. Małachowskiego obok Grobu Nieznanego Żołnierza i Ogrodu Saskiego. Zachęta jest najstarszą galerią sztuki w Warszawie, łączy zatem historię z kontrowersyjną sztuką współczesną. Wszystkie wystawy są czasowe i otwarte dla zwiedzających przez kilka miesięcy.

W najbliższym czasie można będzie zobaczyć dwie wystawy. Jedną z nich to „Zabij to...” Mariusza Wilczyńskiego – ekshibicja nawiązująca do wyreżyserowanego przez niego filmu – „Zabij to i wyjedź z tego miasta”. Druga – „Pimoa Chthulu” Małgorzaty Markiewicz. Jak mówi opis wystawy: „Posługiwanie się techniką szydełkowania, szycia, przekształcanie ubrań w obiekty sztuki, poszerzanie granic pojęcia tkaniny artystycznej stały się znakiem firmowym Małgorzaty Markiewicz. Na ekshibicji możemy spodziewać się wykorzystania motywu sieci pajęczej, który ma wielokrotnie przybierać psychodeliczne, mroczne oblicze”.

Zachęta z pewnością wyróżnia się na tle innych galerii sztuki. Wystawiane w niej prace są intrygujące, dziwaczne, a niekiedy nawet szokujące. Najczęściej nie można powiedzieć, że są one estetyczne, określiłabym je raczej mianem interesujących. Wielokrotnie niosą ze sobą przesłanie dotyczące dzisiejszych czasów. Mnie wizyta w tej galerii sztuki pobudza do refleksji, nawet jeśli niekiedy zupełnie nie potrafię zrozumieć „co artysta miał na myśli”. O Zachęcie wiadomo jedno: nikt nie pozostaje wobec niej obojętny, o czym świadczą chociażby bardzo skrajne opinie na jej temat, które można znaleźć w Internecie. Dlatego właśnie uważam, że zdecydowanie warto ją odwiedzić i na własne oczy zobaczyć, dlaczego zachętowska sztuka wzbudza tyle emocji.



p: wikipedia.org/wiki/Zachęta_Narodowa_Galeria_Sztuki

Konkurs o Pióro Zamoyskiego i Długopis Zamoyszcza



Konkurs o Pióro Zamoyskiego i Długopis Zamoyszcza odbywa się w Zamoyskim co roku. To konkurs literacki, w ramach którego przyznawane są dwie nagrody. Pierwsza z nich trafia do autora tekstu, wyróżnionego przez komisję, składającą się z wyselekcjonowanego grona nauczycieli. Druga z kolei jest nagrodą czytelników. W tym roku Pióro Zamoyskiego zdobyła członkini naszej redakcji, Zuzanna Zembowicz za opowiadanie „Miejsce docelowe”. Długopis Zamoyszcza trafił natomiast do Jana Morawskiego za wiersz „Żabciuuu”. Do lektury wyróżnionych tekstów serdecznie zapraszamy!



Wiła (Zuzanna Zembowicz)

Miejsce docelowe

Aleks poklepał się po kieszeniach. Gdy jego dłonie wyczuły w nich portfel, telefon oraz klucze, odetchnął głęboko i ruszył w kierunku drzwi. Pogłaskał kota na pożegnanie i wyszedł z mieszkania, nieomal zapominając, aby zamknąć je na zamek. Zawsze był nieco roztargniony, ale tego dnia, z powodu mieszaniny ekscytacji oraz nerwów, potrafiłby zapomnieć nawet własnej głowy. Czuł się z tego powodu dosyć sfrustrowany, choć nie zależało mu zbytnio na czasie. Według doniesień świadków ta jedna taksówka mogła przyjechać po niego nawet w środku nocy.

Miejskie legendy interesowały Aleksa już od kilku lat, więc gdy dowiedział się, że w jego mieście również krąży tego typu historia, nie wahał się ani chwili przed jej sprawdzeniem. Według współmieszkańców chłopaka taksówka o numerze rejestracyjnym, zawierającym liczbę sto dziewięćdziesiąt trzy, potrafiła za odpowiednią cenę zabrać klienta do miejsca, do którego najbardziej potrzebował się udać, nawet jeśli sam nie zdawał sobie z tej potrzeby sprawy. Aleks usłyszał opowieści o tym, jak kochankowie ponownie się ze sobą schodzili, bo kierowca zabrał jednego z nich do domu drugiego, gdy się tego nie spodziewali. O tym, jak ludzie zyskiwali lata życia, bo kierowca zawiózł ich do szpitala, gdy jeszcze nie wiedzieli o swojej chorobie. O tym, jak przyjaciele ponownie odnajdywali się po czasie rozłąki, bo kierowca zawiózł ich pod odpowiedni adres, gdy spisywali urwaną znajomość na straty.

Cena za przejazd bywała różna. Czasem stanowiły ją pieniądze, ale kwota nigdy nie zależała od liczby przejechanych kilometrów. Niektórzy płacili drobnymi przedmiotami, między którymi Aleks nie potrafił odnaleźć związku. Innym razem wystarczyła dobrze opowiedziana historia.

Chłopak nie wyrobił sobie jeszcze opinii na temat tego, czy wierzy w te

doniesienia, czy nie. Wystarczyła jednak zwykła ciekawość, by sam wybrał się na przejażdżkę taksówką o numerze sto dziewięćdziesiąt trzy. Pod zwykłą chęcią sprawdzenia, czy w słowach świadków kryje się ziarno prawdy, istniało w nim inne pragnienie. Nie przyznałby się do niego sam przed sobą, ale ciekawiło go, gdzie znajduje się jego miejsce, do którego powinien się udać.

Dlatego też stał tego wieczoru na opustoszałej ulicy, oparty o zapaloną latarnię. Czujnym wzrokiem rozglądał się po mijających go samochodach i czekał, aż któryś z nich zatrzyma się przy nim. Jego noga wystukiwała losowy rytm o płyty chodnikowe. Obok chłopaka przejechało kilka taksówek, jednak każda z nich miała już pasażera. Aleks roztarł zziębnięte dłonie. Wiedział, że musi być cierpliwy.

Gdy obok niego zatrzymał się szary peugeot, początkowo nie zwrócił na niego. Wtedy jego wzrok padł na rejestracje i chłopak wciągnął gwałtownie powietrze.

Sto dziewięćdziesiąt trzy.

Okno kierowcy otworzyło się i z ciemnego wnętrza dobiegł trudny do opisanego głos:

– Potrzebujesz podwózki?

– Tak, tak – Aleks szarpnął za tylne drzwi i wsunął się do samochodu.

Wnętrze nie odbiegało wyglądem od wystroju przeciętnej taksówki, łącznie z aparycją kierowcy. Chłopak odniósł jedynie wrażenie, że jednak było ono nieco zbyt ciemne jak na daną porę dnia. Zerknął na zegar wyświetlany na radiu i odkrył, że ten nie działa poprawnie. Na pewno było zbyt wcześnie, aby była już dwudziesta pierwsza. Mimo to spojrzął jeszcze na swój zegarek. Porysowana tarcza potwierdziła jego przypuszczenia. Z głośników leciała piosenka, która wydawała mu się znajoma, choć nie potrafił sobie przypomnieć, z czym ona mu się kojarzy.

Dopiero gdy zapiął się pasami, zorientował się, że wstrzymuje oddech. Wypuścił głośno powietrze i przecesał ręką głosy. Wciąż pozostawał spięty. Z mieszanką ciekawości i niepokoju rozglądał się po taksówce, jakby oczekiwał, że ta nagle zdradzi mu swoje niezwykle oblicze.

– Trudny dzień? – spytał kierowca, źle interpretując westchnięcie Aleksa.

– Co? Ach, nie do końca, po prostu jakaś taka pogoda dzisiaj...

– Jutro ma się nieco roz pogodzić, jeśli to pana pocieszy.

Chłopak pokiwał głową, cały czas kontemplując wnętrze. Nie wiedział, co powinien teraz zrobić. Samemu zagaić na temat taksówki? Obserwować bieg zdarzeń? Nie miał pojęcia, czego powinien się spodziewać i ta niepewność nie pomagała jego nerwom.

– Adres? – Głos taksówkarza wyrwał go z rozmyślań. Chłopak nieco się zasepił, lecz zaraz sobie przypomniał, że przecież wszyscy inni klienci zawsze podawali docelowe miejsce. Nie zawsze tylko tam docierali.

– Na Polną.

Taksówka ruszyła. Aleks nie czuł żadnej różnicy między tą jazdą a podróżami zwykłymi samochodami. Co jakiś czas kierowca przypadkiem najeżdżał na dziurę w asfalcie, przez co zęby chłopaka boleśnie obijały się o siebie. W radiu zaczęła lecieć kolejna piosenka. Wyrzwał przez okno, wzrokiem sunąc po dobrze znanych budynkach. Z tego, co mógł się zorientować, faktycznie jechali w kierunku ulicy Polnej. Wciąż jednak wierzył, że niesamowita natura taksówki może mu się jeszcze ukazać.

Tylko dlaczego czuł się taki spięty?

Dopiero w tym momencie rozpoznał takty dobiegającej z głośników melodii. Skrzywił się i spojrzął na radio. Na wyświetlaczu wciąż widniała dwudziesta pierwsza.

– Mógłby pan wyłączyć radio?

Kierowca spojrzął na niego w lusterku.

– Przeszkadza panu?

– Ta piosenka źle mi się kojarzy, to wszystko.

– Co, jakaś dama złamała panu przy niej serce?

– Nie, właściwie to... – Aleks ugryzł się w język. Nie lubił opowiadać nikomu tej historii, dlaczego więc teraz czuł taki przymus, aby to zrobić? Nagle go olśniło. Pewnie to była zapłata w zamian za podróż. Szkoda tylko, że kierowca musiał wybrać akurat tę opowieść.

Odchrząknął i zaczął mówić przez ściśnięte gardło.

– To nic ciekawego. Ojciec lubił mi ją puszczać, gdy byłem mały. Nie wiedziałem, że wciąż leci w radiu.

– Brzmi raczej w porządku.

– To niezagojona rana. On... zaginął, kiedy byłem dzieckiem. Po prostu któregoś dnia przestał się odzywać. Moja mama próbowała go szukać, ale nigdzie nie dotarła. Nie mogę myśleć o nim, nie zastanawiając się, co się z nim stało. Został mi po nim tylko zegarek i ta nieszczęsna piosenka.

W taksówce zapadło milczenie. Opowieść zostawiła gorzki smak na języku Aleksa, jednak nie żałował, że podzielił się nią z kierowcą. Przynajmniej póki ten się nie odezwał.

– A co z zegarkiem? To ten, co pan ma na ręce?

– Jest pan bardzo spostrzegawczy – wykrztusił Aleks, choć nie wierzył, że taksówkarz mógł dostrzec przedmiot ze swojego miejsca.

– Niech pan mi zdradzi jeszcze jedną rzecz... Czy pana ojcem nie był przypadkiem Piotr Nowak?

– Nie – skłamał Aleks, odwracając wzrok w kierunku okna. Ulica, którą przemierzali, wydała mu się obca.

– Ach, rozumiem. Bo wie pan, wygląda pan jak skóra zdjęta z Piotra. Zabawny przypadek, prawda? Piotr też miał kiedyś taki sam zegarek, ale mówił mi, że oddał go byłej żonie. Może go sprzedała? Tamten miał wygrawerowaną dedykację, coś w stylu: będę tam, gdzie potrzeba?

– Zawsze będę tam, gdzie mnie najbardziej potrzebujesz.

– Dokładnie! Był beznadziejnym romantykiem – Na dźwięk śmiechu taksówkarza po plecach chłopaka przebiegł dreszcz. Słowa kierowcy wzbudziły w nim jednak ciekawość, która przeważała nad niepokojem.

– A... Tak właściwe... Skąd go pan znał? – Kierowca rzucił mu w lusterku porozumiewawcze spojrzenie, na które w odpowiedzi Aleks zacisnął zęby. Nie potrafił zbyt dobrze kłamać.

– Pracowaliśmy razem. Najlepszy chłopak w firmie. Jeździł nawet tą taksówką, wie pan? Był pierwszym kierowcą słynnej sto dziewięćdziesiątki trójki. Szef przekazał mi ją, gdy Piotr odszedł.

– Odszedł?

– Też byłem wtedy zaskoczony. Czemu miałby odchodzić? Musiał płacić w końcu alimenty na syna. Niby są lepiej płatne prace, ale w naszej firma oferuje i tak wysokie pensje jak na rynek, a on nie miał problemów z pieniędzmi. Twierdził jednak, że nie wytrzyma dłużej, że musi to rzucić, że teraz odpowiada nie tylko za siebie, ale też za syna. A potem, jak pan wie, zaginął. Próbowałem nawet pytać jego byłej żony, ale ta nie chciała mi nic powiedzieć. Zachowywała się, jakby się mnie bała, a przecież kiedyś się nieźle dogadywaliśmy.

Coś w tonie mężczyzny zaniepokoiło Aleksa. Jego głos wydawał się zbyt beztrojski, jakby ten nie zdawał sobie sprawy, o jak ponurej sprawie mówi. Chłopak wyjrzał przez okno i z niepokojem stwierdził, że nie rozpoznaje już okolicy, choć nie mogli jechać dłużej niż pół godziny. Przymknął oczy i oparł głowę o szybę, starając się uspokoić. Gdy poczuł, że samochód się gwałtownie zatrzymuje, uchylił powieki.

Taksówka zatrzymała się przy cmentarzu.

– Oto miejsce, którego najbardziej potrzebujesz.

Krew odpłynęła z twarzy Aleksa. Zacisnął rękę na klamce drzwi i zaczął ją szarpać, jednak te nie puściły. Kierowca odwrócił się do niego i zaczął się śmiać.

– Dobry żart, co? Słyszałeś chyba opowieści o sto dziewięćdziesiątce trójce?

Chłopak słabo pokiwał głową.

– Cholera, masz słabe nerwy, to chyba po ojcu... – Taksówkarz spoważniał. – Ze dwa lata temu dowiedziałem się, że tu pochowano Piotra. Leży w lewym górnym rogu, przy wielkim klonie. Myślę, że zasługujesz, by wiedzieć, co się z nim stało.

Pogrzebał w schowku auta oraz wręczył Aleksowi kartonik.

– Tu masz wizytówkę, gdybyś kiedyś potrzebował podwózki. Zapłatą się nie przejmuj.

Gdy tylko zazgrzytał zamek, Aleks wysiadł z auta. Spojrzał na wizytówkę. Pod logiem firmy widniało zapisane elegancką czcionką hasło reklamowe: *będziemy tam, gdzie będziecie nas najbardziej potrzebować*. Podarł kartonik i wrzucił go do śmietnika. Ignorując drżące kolana, przekroczył bramę cmentarza i ruszył we wskazanym kierunku. Bał się, oczywiście, że tak, ale ciekawość nie pozwalała mu się zatrzymać. Spojrzał na zegarek i przełknął ślinę. Cyferblat wskazywał dwudziestą pierwszą. Spanikowany sięgnął po telefon, ale na jego wyświetlacz pokazywał już prawidłową godzinę. Zdjął zegarek z ręki, by schować go do kieszeni, a następnie dodał to zagadnienie do rosnącej listy pytań. Nie umiał stwierdzić, czy chce znaleźć na nie odpowiedź.

Kierowca nie kłamał – mężczyzna na zdjęciu na nagrobku faktycznie wyglądał jak kopia Aleksa. Odróżniały go tylko ciemne, niemal czarne oczy, które pełnym żalu spojrzeniem obdarzały odwiedzających. Aleks westchnął i przeczesał włosy. Myślał, że na widok grobu poczuje smutek, ale nie potrafił się wyzbyć nieokreślonego lęku. Wtedy jego wzrok padł na inskrypcje:

Nie był tam, gdzie go najbardziej potrzebowano.

Pod wpływem impulsu sięgnął do kieszeni. Jego palce natrafiły na kanciasty kartonik. Drżącą dłonią wyciągnął go i spostrzegł, że to wizytówka, którą dostał od taksówkarza. Nie było na niej śladów zniszczenia, jedynie tekst na niej uległ zmianie:

Czy będziesz tam, gdzie będziemy cię najbardziej potrzebować?

To przekroczyło granice jego wytrzymałości. Ponownie podarł kartonik i cisnął go na ziemię, tuż obok grobu swojego ojca. Nerwowym krokiem ruszył w stronę ulicy. Może taksówkarz miał rację i faktycznie miał słabe nerwy. Może mylił się i Aleks miał bardzo dobry instynkt. Niezależnie od prawdy, chłopak zdecydował, że sytuacja go przerasta.

Zatrzymał się dopiero przy bramie cmentarza, przed którą stał szary peugeot. Drzwi od strony kierowcy zostały otwarte i nikogo nie było w środku. Chłopak w wbrew sobie podszedł do pojazdu oraz zajrzał do środka. Na fotelu leżała kolejna wizytówka i kluczyki do auta. Podniósł obie te rzeczy. Na tej wizytówce z kolei widniało jego imię i nazwisko, wraz z numerem telefonu.

Nim zdążył się choć chwilę zastanowić nad całą sytuacją, do samochodu wsiadła ubrana w czern kobieta.

– Na Poniatowską trzydzieści siedem, proszę.

– Ja nie jestem... – zaczął mówić Nowak, lecz wtedy poczuł przymus tak silny, że bez wahania wsiadł do samochodu i zatrzasnął drzwi. Czuł, że zamiast na wskazany adres powinien zawieść kobietę do pobliskiego parku, gdzie dozna ona olśnienia i swoje *magnum opus*. Zdrętwiałymi rękami odpalił silnik, który wesółym pomrukiem powitał nowego właściciela. Wyświetlacz przy radiu wskazywał godzinę dwudziestą drugą.

Żabciuuu

Mrozon (Jan Morawski)

Żabo Żabo ach Żabo ukochana
Czemuż ty taka na zielono ubrana?
Pewnie najchętniej byś tylko skakała
Albo całe dni na liściu rechotała
Żaby są przepiękne żaby są najlepsze
Żaby ach żaby skradły moje serce!
Kto żab nie ubóstwia ten człowiekiem jest wstrętnym
Okrutnikiem i hultajem musi być niepojętym
Żabo, Żabeńko! Ach któż to wie?
Czy jak dam ci buziaka ty w księcia zmienisz się?
Żaba każdemu kojarzy się z POKORĄ
I przed bocianem raczej bardzo smutną dolą
Ale Żabki są sprytne, i z tym sobie poradzą!
kiedy są zagrożone, jak GROTOŁAZ pod ziemię włożą
Ale żeby pozytywnie zakończyć tę żenadę
Kochaj bliźniego jak siebie i żabę!!!!



Lisica

Zuzanna Zembowicz

Violet podążała za milczącym strażnikiem, z cichym zdumieniem przyglądając się mijanym korytarzom. Unijne więzienie zupełnie nie pasowało wyglądem do tych ziemskich. Zamiast z betonu, ściany wykonano z połyskującej substancji w mlecznym kolorze. Pomieszczenia oblewało delikatne światło, nadając wszystkiemu żółtawy odcień. Nawet kraty wydawały się mniej surowe, gładziej i błyszczące. Oczywiście, prawniczka spodziewała się czegoś bardziej futurystycznego niż obrazy znane z ziemskich wyobrażeń, ale i tak poczuła się zaskoczona. Szybko jednak przeszła nad tym do porządku dziennego. Przecież nie pozwoliliby, by Vos czekała na wyrok byle gdzie.

Strażnik zatrzymał się przed czarnymi drzwiami, a Violet stanęła obok niego. Miała

nadzieję, że nie widać po niej, jak bardzo spotkanie to ją denerwuje.

— Ma pani czterdzieści minut. Będą panie pod ciągłą obserwacją. Po upływie czasu przyjdzie po panią strażnik. Jeśli będzie pani chciała zakończyć spotkanie przed czasem, proszę wystukać w drzwi alfabetem Morse'a słowo koniec.

— Alfabetem Morse'a? W więzieniach teraz też się go używa? — adwokat uniosła brwi w pełnym dystansu zdziwieniu, które nie naruszało jej profesjonalnej aury.

— To nowa procedura, proszę pani.

— Rozumiem.

Strażnik obejrzał się nerwowo. Gdy upewnił się, że nikogo nie ma w pobliżu, nachylił się nieco w stronę kobiety i spytał konspiracyjnym szeptem, pełen ciekawości wzrok kierując na drzwi.

— Sądzi pani, że to na pewno ona? Lisica?

— Jestem o tym przekonana — Violet pozwoliła sobie na delikatny uśmiech.

— Jednak to dziwne, że udało się ją tak bezproblemowo aresztować. Nikomu dotąd nie udało się jej złapać. Nie żebym umniejszał talentowi komendanta, jeśli już ktoś miał tego dokonać, to on, jednak...

— Jeśli to panu pomoże, ona jest tu tylko dlatego, że chce tu być. Na pana miejscu miałabym się na baczności.

Wzrok strażnika stał się nagle bardziej badawczy.

— Mówi pani z własnego doświadczenia?

— Częściowo — przyznała niechętnie prawniczka. — Choć gdy ją widziałam po raz ostatni, nikomu przez myśl by nie przeszło, by nazywać ją Lisicą.

Mężczyzna bez przekonania pokiwał głową. Mimo widocznej na jego obliczu podejrzliwości wyprostował się, otworzył przejście i gestem zaprosił adwokat do środka. Podziękowała mu skinieniem głowy oraz przekroczyła próg.

Postać Vos przyciągała wzrok niczym świeca w ciemnym pomieszczeniu. Dla Violet kobieta jednocześnie zmieniała się bardzo, jak i nie zmieniała się wcale. Przestępczyni wyrosła mocno od ostatniego czasu, gdy Violet ją widziała. Wcześniej mogła spoglądać na czubek jej głowy, a teraz sięgała dziewczynie najwyżej do ramion. Umięśniona sylwetka i długie, czarne włosy też były czymś nowym. Jednak zadziorne, wyzywające spojrzenie i wrażenie tajemniczości oraz opanowania, jakie wokół siebie roztaczała, pozostało identyczne. Pod wpływem wzroku Vos Violet zawsze się czuła, jakby kobieta miała dla niej specjalną rolę w swoim planie. Dawniej udawało się jej odczytać myśli przestępczyni z jej twarzy. Teraz, jeśli w ogóle potrafiłaby to zrobić, czas zatarł dla niej przejrzystość rysów Vos.

— Witaj moja droga. Nie sądziłam, że się na to zdobędziesz — powitała prawniczkę zachrypniętym głosem.

— Gdybyś naprawdę tak nie sądziła, nie zadzwoniłabyś po pomoc — odparła Violet,

zajmując miejsce naprzeciwko kobiety. Starła się zachować profesjonalizm, jednak sam lekko kpiący ton Vos sprawiał, że traciła nad sobą panowanie.

— Pomoc nie jest właściwym słowem. Sugerowałabym raczej współpracę.

— Semantyka. Wezwałeś mnie, abym broniła cię w trakcie procesu? Ciebie, najmniej kryjącą się ze swoją winą złodziejkę? Przecież wygrana będzie niemożliwa. Wystarczy, że wpiszą twój pseudonim w internet.

— Gdyby tak było, już dawno siedziałabym za kratkami. Poza tym, naprawdę, uważasz mnie za złodziejkę? Moja droga, ja jestem artystką. Czy mój manifest przeciwko gatunkizmowi można nazwać włamaniem? Czy protest przeciwko otworzeniu kolejnego zakładu, zanieczyszczającego kolonie, można nazwać rozbojem?

— Więc jesteś aktywistką? I te wszystkie przedmioty, które znikają w trakcie twoich... manifestów, to wyłącznie rekompensata? — zakpiła Violet. Zupełnie porzuciła swoją maskę dystansu do klientki.

— Przy obecnych rządzących trzeba sięgać po drastyczniejsze środki — aresztantka odparła wymijająco. — Kiedyś uważałaś tak samo.

— Kiedyś byłam naiwną nastolatką, która wierzyła, że samymi marzeniami można zmieniać świat! — warknęła Violet, jednak natychmiast się opanowała, widząc zadowolenie w oczach klientki. Może jednak dawna przyjaciółka nie będzie dla niej zamkniętą księgą. — Porzucmy ten temat. Po prostu odpowiedz mi na parę pytań i miejmy to za sobą. Przynajmniej będę mieć rozgłos po twojej sprawie, kiedy przegramy.

— Parę pytań? O nie, moja droga, musisz wysłuchać całej historii. Kilka zdań nie nakreśli ci całego obrazu. Zrobimy po mojemu.

Violet chciała odpowiedzieć, że Vos w tym momencie nie ma żadnej władzy, gdyż z nich dwóch to ona siedzi skuta kajdankami. Westchnęła jednak tylko i rozłożyła ręce.

— Zaczynaj — powiedziała z rezygnacją.

Złodziejka uśmiechnęła się z tryumfem.

— To była piękna zimowa noc...

*

Ciemność lutowego wieczoru potęgowała niezwykłość rozświetlonej willi Ambasadora. Złota poświata wokół budynku sprawiała, że ten wyglądał jak z innego świata. Vos pozwoliła sobie na chwilę zachwytu, by następnie całkowicie skupić się na swoim planie. Poklepała się po kieszeniach, aby sprawdzić, czy na pewno wszystko ma przy sobie. Poprawiła miedzianą maskę i bezszelestnie wsunęła się do środka.

Początkowo planowała pojawić się na przyjęciu jako gość. Właściwie nawet oficjalnie dostała zaproszenie, jako formę wyzwania rzuconą przez gospodarza. Przekaz był jasny. Nie boimy się twoich występów. Jeśli się pojawisz, zostaniesz aresztowana. Na ich nieszczęście, Vos jedynie to sprowokowało. Już od dawna zasadzała się na Ambasadora,

dokładniej na ametystową kolię jego żony, a ten sam stworzył jej idealną okazję. Jednak wkroczenie na salę balową w pięknej sukni było zbyt ryzykowne, dlatego wmieszała się między obsługę.

Po przejściu krótkim korytarzem znalazła się w przestronnej kuchni. Pomieszczenie, mimo swoich rozmiarów, wydało się złodziejce zaskakująco przytulne. Ściany z czerwonej cegły oraz jasne, drewniane szafki stawały na przekór nowoczesności i minimalizmowi reszty willi, tworząc domową atmosferę. Blaty zastawione zostały licznymi naczyniami z przygotowanymi na przyjęcie potrawami. Vos wyjęła z kieszeni niewielką buteleczkę i zaczęła kropić jedzenie zawartym w niej płynem. W ogólnym harmidrze nikt nie zwrócił na nią uwagi, a jeśli już ktoś zauważył, że coś robi, najpewniej pomyślał, że po prostu doprawia jedzenie. Gdy zawartość buteleczki się skończyła, złodziejka wyrzuciła ją do śmieci i skierowała się ku głównej sali. Miała jakieś pół godziny na przygotowania. Na miejscu zatrzymał jednak ją szorstki głos.

— Ty, wysoka! Tak, ty! Gdzie się wybierasz?

Vos zatrzymała się wpół kroku, a w jej myślach pojawił się przestach.

*

— Dlaczego miałaś na sobie maskę, skoro wybierałaś się na salę? — przerwała jej Violet. — Obsługa je zdejmuje, gdy bezpośrednio ma kontakt z gośćmi. Przecież i tak do tej pory nikt nie wiedział, jak wygląda twoja twarz.

— Naprawdę ta część cię najbardziej interesuje?

— Po prostu odpowiedz.

— Nie wspomniałam o tym? Przecież to był bal maskowy. Każdy ze służby oraz z gości miał jakąś maskę. Czy zaspokoiliam twoją ciekawość? Tak? Więc kontynuujmy.

*

— Mam zająć się gośćmi — wyjąkała, starając się, by jej głos miał złęknione brzmienie. Może wtedy jej panikę uzna za przejaw nieśmiałości.

— To bierz tacę i do roboty — odparł zirytowany kierownik, wciskając jej w rękę kieliszki szampana.

Vos odetchnęła z ulgą i pewniejszym krokiem weszła do głównej sali. Wnętrze zaparło jej dech w piersiach. Pomieszczenie upozorowano na przestrzeń kosmiczną. Liczne rzutniki tworzyły iluzję milionów gwiazd wokół gości. Ci przebywali w półmroku, przez co światło odbijane od ich błyszczących strojów sprawiało, że oni sami przypominali ciała niebieskie. W powietrzu unosił się zapach ozonu, tak charakterystyczny dla nowoczesnych statków kosmicznych. Atmosfery dopełniała cicho przygrywająca muzyka. Dziewczyna siłą stłumiła w sobie zachwyty. Ambasador może i urządza przepiękne bale, lecz to nie wynagradza masy zanieczyszczeń produkowanych przez fabryki, których jest nieoficjalnym właścicielem.

Rozdała kilka kieliszków wśród gości. Jej przypuszczenia się sprawdziły. Nikt z obecnych nie zwracał na nią zbyt wiele uwagi. Wystarczyła biała koszula, która zdawała się fosforyzować w granatowo-fioletowym świetle oraz czarne spodnie, aby obecni uznali ją

za kelnerkę. Odstawiła tacę na pusty stolik i przemknęła do rzutników. Podpięła do nich pendrive i wprowadziła odpowiednie ustawienia. Tak samo zrobiła z rozpylaczami zapachu.

Następnie z niejakim żalem opuściła salę i udała się do części prywatnej willi. Jako pierwszy dezaktywowała alarm, wywołując niewielkie zwarcie w przewodach. Potem, dużo spokojniejsza, ruszyła do gabinetu żony Ambasadora. Miękkie dywany tłumyły jej kroki. Nie minęło dużo czasu, nim znalazła odpowiednie drzwi.

*

— Chwila, willa to prawdziwy labirynt. Jakim cudem dotarłaś tam tak szybko? — Violet zmarszczyła brwi. Raz przypadł jej zaszczyt wizyty w tym cudzie architektury. Gdyby nie gospodarz, prawdopodobnie nie potrafiłaby się z niego wydostać.

— Już kilkakrotnie odwiedzałam dom Ambasadora. Myślisz, że poszłabym bez wstępnego rozeznania?

— A alarm?

— Co alarm?

— Naprawdę udało ci się go tak sprawnie dezaktywować?

— To popularny model, miałam z nim już do czynienia — wycedziła Vos przez zęby. Pierwszy raz od wejścia Violet straciła nad sobą panowanie. — Wybacz, ale chyba przesłuchanie nie leży w twoich kompetencjach. Po prostu słuchaj.

Prawniczka rozłożyła ręce w zapraszającym geście.

*

Od razu skierowała się do odpowiedniej gabloty, lecz kolia nie było na ozdobnej poduszeczce. Vos zagryzła zęby. Ozdoba mogła opuścić gabinet tylko w dwóch przypadkach — albo ktoś ją ubiegł i ukradł biżuterię, albo Ambasadorowa postanowiła założyć ją na przyjęcie. Złodziejka wypadła z gabinetu i z zimną determinacją ruszyła do głównej sali.

Trafiła w sam raz na początek przemówienia Ambasadora, jednak nie przysłuchiwała się dokładnie jego słowom. Mówił coś o postępie, rozwoju, niezwykłości obecnych czasów. Te same bzdury, ślepo powtarzane przez każdego polityka. Jej uwagę pochłonęła kolia, spoczywająca na dekolcie żony Ambasadora. Ciemne drewno eksponowało hipnotyzujący ametyst. Po kolonizacji innych planet drewno, przez swoją rzadkość występowania miało podobną wartość co złoto.

Vos bezszelestnie przemieściła się za plecy swojego celu, siedzącego przy stole. Nie musiała długo czekać na odpowiedni moment.

Zaczął się od zapachu. Delikatną woń ozonu zastąpił odór palonego plastiku. Goście zaczęli się krzywić, lecz żaden z nich nie wyglądał na zaniepokojonego. Jediną reakcją Ambasadora było niecierpliwe machnięcie ręką na obsługę. Wtedy do pierwszego zapachu dołączyła woń rozkładającego się jedzenia, a potrawy na stolikach zaczęły się w przyspieszonym tempie rozkładać. Wśród tłumu pojawiło się poruszenie. Ludzie na

przemian bledli i zielenieli, a część z nich postanowiła opuścić salę. Kilku innych wyciągnęło telefony, aby nagrać wydarzenie. Ambasador zaczął pospiesznie uspokajać obecnych. Vos musiała przyznać, że zaimponowała jej opanowana postawa mężczyzny. Jednak to nie był koniec spektaklu. Przestrzeń kosmiczną, wyświetlaną na suficie, zastąpiły hały spleśniałych śmieci. Na środku sali wyświetlił się napis, jaśniejący wśród rozprzestrzeniającego się brudu: Jeśli mu pozwolicie, tak będą wyglądać nasze domy.



Lisica.

Wybuchło zamieszanie. Część ludzi starała się wydostać, a inni próbowali zbliżyć się do napisu. Ambasador starał się przekrzyczeć tłum, jednak jego głos nie potrafił przebić się przez hałas. Jego żona zeszytniała z szoku. Vos nie czekała dłużej. Ostrożnie rozpięła zapięcie koliai i zsunęła ją z szyi kobiety. Wtedy ktoś chwycił jej nadgarstek, w którym trzymała ozdobę. Obróciła się, a jej spojrzenie napotkało mężczyznę w szarym garniturze. Komisarz uśmiechnął się do niej ponuro.

— Wreszcie się spotykamy.

*

— Okazało się, że, tak jak myślałam, przyjęcie było przynętą. Niestety jeden z pomocników dzielnego pana komisarza przyuważył, jak majstruję przy rzutnikach i od tamtego momentu mnie obserwowali — podsumowała złodziejka, nie kryjąc pogardy dla stróżów prawa. — Mieli szczęście.

Violet zamrugała kilka razy i odchrząknęła.

— Dobrze, więc pomyślmy teraz nad linią obrony. Obawiam się, że nie uda się przekonać sądu o twojej niewinności, zwłaszcza jeśli mamy naocznych świadków, lecz możemy postarać się o złagodzenie wyroku... — nagle spojrzenie prawniczki się wyostrzyło. — Chwila, aresztował cię komendant, a nie komisarz.

— Violet, a od kiedy wierzysz we wszystko, co wychodzi z moich ust? — Na twarz Vos wypłynął podstępny uśmiech. Jego obraz wciąż pozostał w pamięci Violet, gdy w pomieszczeniu zgasło światło. Usłyszała jeszcze brzęk opadających kajdanek. Prawniczka poderwała się z miejsca, jednak Vos była szybsza. Pchnęła w jej stronę stół, przeskoczyła przez jego blat i dopadła do drzwi, gdzie kodem Morse'a wystukała słowo koniec. Wejście się przed nią otworzyło.

— Stój!

— Do zobaczenia, Violet.

Drzwi zatrzasnęły się, zostawiając dziewczynę w ciemności.



Prozematy ikaryjskie

Martyna Nowak

Żółciutkie mniszki zakołysały się w rytm delikatnego podmuchu, który jak zwiewny biały tiul zawirował, chcąc porwać do tańca kwiaty. Przez cienkie, zielone łodyżki przeszedł dreszcz, od koniuszków liści aż po korzenie. Oto zaczyna się wietrzny fokstrot! Mleczce zadrżały, stuliły wąskie, żółte płatki. I oto on! Wyczekiwany artysta z gracją wstąpił na parkiet. Dmuchawiec zawirował w tańcu z wiatrem, jego ulotne, lżejsze niż puch nasiona uniosły się na kształt piór. Jego struchlali żółci bracia przypatrywali się dramatycznej scenie, z trwogą patrząc, jak podmuch porywa go w siną dal, całe dygotały wręcz w obawie o ten sam los. Tylko jeden, mały, żółty jak popołudniowe słońce Mniszek zadzierał główkę, z uwielbieniem wbijając utęskniony wzrok w Dmuchawca. Zazdrościł mu odwagi, która pozwoliła mu teraz wzbijać się pod niebiosy i jako jedyny wiedział, że to, co słychać między jękami wiatru, to nie krzyki przerażenia, a dziki śmiech prawdziwej wolności.

Patrząc na wirujące wokół szczęśliwe wreszcie bielutkie płatki, zwierzył się wiatrowi z ukrytych w zielonym sercu pragnień, zawierając mu swoją jedyną modlitwę.

Mały Mniszek też chciał być Dmuchawcem.

Ikary, dzieci Słońca, związane wzniosłym ślubem z Samotnością, skazane na pełen patosu Upadek. Niezrozumiani przez Dedali, mrużących w obliczu Słońca styrane ziemskością oczy. Dedali z dwiema podłużnymi bliznami na zbyt kruchych łopatkach. Bo tylko Ikar Ikara zrozumie, istota rzeczy w tym, że choćby stanęli ramię w ramię, z zaróżowionymi od słonecznych promieni polikami, to oboje są zbyt w nie wpatrzeni, by spostrzec siebie nawzajem. Oboje, dwójka upadłych/niedoszłych Ikarów zbyt w Słońce wpatrzonych, by zobaczyć, że ich istniejące lub nieistniejące skrzydła Schrödingera wiodą ich prosto na spotkanie z gorącymi, zbawczymi ramionami.

Lawiruje między leniwymi obłokami, pędząc na skrzydłach wiary, sztuki i marzeń, gnany tchnieniem wiatru, tego samego wiatru, który niesie ku niebu zwiewne płatki ulotnego dmuchawca. Zatapia błękitne oczy w odmętach oślepiającej nieskończoności, spragnionymi, spękany od smagającego mroźnego podmuchu wargami spija łapczywie chwile skąpane w promieniach wschodzącego na różowo Słońca.

Wyrwał z żeliwnych łańcuchów upragnioną wolność, samolubnym ptakom wydarł pilnie strzeżoną tajemnicę skrzydeł. Zamiast pomników z marmuru, ociosanych dłutem czasu, postawią mu kiedyś taki z gładkiego wosku, równie ulotnego, co on sam.

Stęskniłam się Ikarze, synu mój. Wróć, proszę.

Dziecię Słońca zawirowało raz jeszcze, zgrabnym piruetem wieńcząc dzieło swego żywota – samo w sobie życie właśnie.

Nadchodzę, Matko.

Wokoło wirują białe pióra, lżejsze od tańczących na mrozie śnieżynek, kapią gorące krople wosku (czy też może kapią gorące łzy?). Rozpada się wszystko, co stworzył; Ikar leci bezładnie, żegna się z wiatrem, młóćąc ramionami w próżnię, lecz nie lęka się, bo wie, że nawet gdy zamknie oczy, pod powiekami wciąż będą skrzyć się podrygujące światła, eksplodujące czystą euforią.

Ale było w tym wszystkim coś... ujmującego.

Zapierającego dech.

Gdy patrzymy na runący w dół idealizm.

Wraz z Ikarem umarły wszelkie skrzydła, opadły wszystkie pióra, rzekną ci, na których plecach dwie pąsowe pręgi.

Wraz z upadkiem Ikara, wszystkie Dmuchawce wzleciały.



Mateusz Płoński

Dla Basi

„W teatrze życia każdy może się ubawić, z wyjątkiem aktora”

Brakowało tchu i światła. Odciął mnie od słońca i od okna w ogóle. Potrzeba oddechu wzmagała się z każdym momentem. Muszę je odsłonić. Muszę.

- Przepraszam Pana najmocniej, będzie Szanownemu Panu przeszkadzało, jeżeli otworzę okno i odświeżę trochę przedział?

- Och, nie będzie mi to przeszkadzać w najmniejszym nawet stopniu, szanowny Panie.

Zrobiłem. Co teraz? Muszę poczekać na jakiś inny sygnał.

- Długo już Szanowny Pan jedzie?

Jest.

- Wydaje mi się, że wsiedliśmy, proszę Pana, razem.

- Ach tak, to właściwie bardzo możliwe. Nawet tak mi się, drogi Panie, zdawało.

Próbował odpowiadać niegrzecznie, ale odnoszę wrażenie, że niecałkowicie mu się udało. Może tak miał na myśli to rozegrać? Wciągnąć go do swojej gry, rozdmuchać ognisko, które zacznie potem wypluwać najnieczystsze postęпки przykryte pod postacią irytujących iskierek.

- Dokąd Pan zmierza, szanowny Panie?

- Och. Wydaje mi się, że została już tylko jedna stacja, proszę Pana.

Sytuacja nieprzyjemna wylęła się z sytuacji, która, z założenia, miała mieć charakter nad wyraz prosty. Dwóch mężczyzn, ten starszy wyższy od młodszego, znalazło się w przedziale. Oprócz czarnych długich płaszczy, łączył ich także czynnik o wiele bardziej tajemniczy, to jest cel ich podróży. Każdy z nich zaplanował sobie swoją własną drogę, której obranie skutkuje (tego nie wiedzieli) ponownym spotkaniem w całkowicie innym miejscu niż przedział, w którym aktualnie się znajdują.

Młodszy z nich wygląda na około 26 lat, ale o jakimkolwiek potencjalnym jego zajęciu nie wiadomo mi absolutnie nic. Zgadłby pewnie ktoś, kto powiedziałby, że jest pisarzem. Nieprzerzedzone jeszcze włosy ma zaczesane zgrabnie do tyłu, a oczy zdradzają bystrość większą niż ta, która go rzeczywiście cechuje. W ogólnym rozrachunku wygląda bardzo przystojnie. Nie można tego z kolei powiedzieć o jego niedoszłym kompanie - łysym mężczyźnie w zaawansowanym wieku, acz nie zaawansowanym wystarczająco na to, żeby opuściły go zdrowe zmysły. Na to błogosławieństwo będzie musiał poczekać jeszcze parę lat. Najbardziej głębiej jego długiej wędrówki dostrzec można w jego oczach - zmęczone powieki odcinają żółciutkie gałki niemal całkowicie od światła, a krzaczaste brwi tylko pogarszają sprawę.

- Dziwnie się czuję, drogi Panie, z tym, że tak nagle przerwaliśmy ciszę, która łączyła nas przez całą podróż, aż do teraz.

Zastanawia mnie, czego oni od siebie chcą. Czuję się jak czwarta z makbetowskich wiem - wiem dużo na temat nierozzerwalnej, acz krótkiej przyszłości tych dwóch, ale niestety nie mam żadnych informacji na temat ich potencjalnych powiązań. Może obaj są nieszczęśliwie zakochani?

- Ma Pan żonę, szanowny Panie?

- Och, dawne czasy.

Czyli jednak.

- Zmarła parę lat temu. Równo za dwa tygodnie minie, jeśli mnie moja stara głowa nie myli, dziewiąta już rocznica jej odejścia.

- Niech Pan przyjmie moje najszczerze wyrazy współczucia.

- Niech Pan przestanie. Pańskie grzeczności i tak nie zmieniają wiecznego już stanu rzeczy.

- W najszczerzych intencjach mówiłem...

- W najszczerzych intencjach powinien też Pan słuchać. Ogłuchł Pan?

Zdaje mi się, aczkolwiek mogę się mylić, że sytuacja się drastycznie pogorszyła. Wyczułem w powietrzu pewnego rodzaju... jakby to powiedzieć.... napięcie.

- Bardzo Pana uraziłem?

- Wie Pan, ile mam lat?

- Nie wiem, szanowny Panie. Zakładam, że osiągnął Pan już piękny wiek.
- Aha... A po czym Pan tak wnioskuje?
- Wybacz Pan...
- Porzuć Pan te grzeczności i odpowiadaj.
- Pański wygląd nasuwa takie myśli.. Nie chciałem Pana urazić...
- Niczym mnie Pan, do stu diabłów, nie uraził. Kogo innego należy za starość pod sąd postawić.

Muszę się przyznać, że nie wiem, jakie stanowisko zająć w obliczu takiej wymiany. Starszy z nich, ewidentnie na kogoś obrażony, twierdzi, że nie jest obrażony. Potem zmienia zdanie...

Chociaż właściwie to chyba go nie zmienia. Zwrot w jego emocjach oraz myślach dotyczy osoby, wobec której kieruje swój gniew, a nie samego zdenerwowania... NIE! JUŻ WIEM!! Na to zdarzenie spojrzałem zupełnie ze złej perspektywy. Muszę podjąć się analizy, tej bez wątplenia zawiłej sytuacji, raz jeszcze.

Ten uroczy staruszek nie ma w żadnym stopniu do czynienia z całą tą rotacją w pomysłunku - chodzi o jego rozmówcę. Młody mężczyzna odnosi wrażenie jakoby dotknął, swoim niewyrachowanym słownictwem uczuć swojego rozmówkowego partnera i w wyniku tego czuje się źle. Błądzą... To cały czas nie sedno...

Mam wrażenie, że znajduję się już na drodze, która zawiedzie mnie do odpowiedzi, których poszukuję, acz nie mogę się podnieść i zacząć biec. Morze do przepłynięcia znajduje się przede mną, ale brakuje mi sił, żeby płynąć. Gdyby ktoś tylko wyciął jakąś ścieżkę wiodącą przez sam środek tego pięknego basenu, tak, ażebym mógł prześcignąć samego siebie i dostać to, czego chcę...

Podejdźmy do tego wszystkiego raz jeszcze, ze świeżym umysłem: mężczyzna młodszy otoczył samego siebie bardzo nieprzyjemnymi okolicznościami, w wyniku swojej nieostrożności... Starszy mężczyzna nie przyjął tego źle, chociaż jego słowa, jak dla mnie brzmiące bardzo wiarygodnie, nie mają na stan tamtego najmniejszego chociażby wpływu...

Jakież to wszystko proste! Eureka! Negatywny charakter tej pokomplikowanej scenie nadaje jedynie reakcja pana wyglądającego mi na pisarza. Sytuacja ma charakter neutralny, ale to jego uczucia są tym co barwi cały obrazek na czarno. Wszystko jasne. Zrozumiałem.

- Tęskni Pan za nią jak mniemam...
- Bardzo. Czasami wydaje mi się, że usilnie podtrzymywane przez mnie uczucia powinienem porzucić, a jednak coś lub ktoś cały czas każe mi przy nich obstawać.
- Mogę zadać niedyskretne pyta...
- Mów Pan.
- A więc... Zraziłoby Pana moje pytanie, którego nie muszę wcale zadawać, jeśli Pan nie chc...
- Zostaw Pan te boskie grzeczności za sobą i zadawaj pytanie. Najwyżej nie odpowiem.
- Dobrze... Tragicznie zmarła pańska żona?

- Tak mi się właśnie zdawało, że o to Pan zapyta. Tak, zmarła wyjątkowo okrutnie. Łatwo mi cała sytuacja zapadła w pamięć, nie tylko ze względu na jej okrutny charakter, ale także na same okoliczności. Była to niedziela, słońce wychylało się lekko zza nienaturalnie ciemnych chmur. Całość wyglądała dziwnie nieziemsko. Zawsze mówię, że tak wyobrażam sobie pogodę w dzień ukrzyżowania Chrystusa.

Zaśmiał się niezręcznie.

Jej urodziny. To było w jej urodziny. 29 lutego. Parę miesięcy przed odejściem naszego ukochanego Ludwika XVIII. Przesępny to był rok. Przekłety bardziej niż przestępny.

Wsiedliśmy z Basią do powozu, jak robiliśmy to od zawsze, drogi Panie. Nigdy później, ani wcześniej, nie doświadczyłem, Panie, takiego okrucieństwa. Człowiek człowiekowi, a brat bratu. Do dzisiaj, chociaż ta sytuacja faktycznie miała miejsce, nie jestem w stanie tego pojąć. Umysł może mam za mały albo serce za duże.

Jechaliśmy do jej rodziców; do jej matki. Ojciec zginął dzielnie pod Napoleonem za dawnych jeszcze czasów. Moja żona pochodziła z rodziny dostojnej, acz stroniącej od miejskich zabaw, więc przedrzeć musieliśmy się przez las. Od lat co najmniej dwustu, mieszkali w tym samym wielkim domowisku. Ziemi im nie brakowało, a ogród mieli najpiękniejszy ze wszystkich, jakie mi dane było w życiu widzieć. Wszystko mieli oprócz Boga po swojej stronie.

Wjechaliśmy do lasu rozweseleni widokiem zameczku przebijającego się przez skupisko przestarzałych drzew. Regularnie polerowane cegły odbijały światło słoneczne wystarczająco mocno, żeby oślepić od czasu do czasu naszego lokaja.

Przez parę kolejnych minut było to jego największe i jedyne zarazem zmartwienie. Potem zostaliśmy napadnięci. Nasz zacny kierowca nie miał najmniejszego cienia szans na przeżycie. Kula przebiła jego serce tak nagle, że pewnie biedak nie zdał sobie nawet sprawy z tego, że nie żyje. Potem przyszła kolej na nas. Wykrzyknąłem do mojej ukochanej, żeby rzuciła się na podłogę, samemu sięgając po nabity wcześniej z przezorności jednostrzałowiec.

Nie mieliśmy żadnych szans, a jednak moją osobę Fortuna odnalazła. W gąszczu niezrozumiałych okrzyków, strzałów oddawanych na przestrach i bluzgów skierowanych w każdym możliwym kierunku - moja żona zemdląca. Zabrakło mi w tamtym momencie myśli wystarczająco jasnych, ażebym mógł podjąć się jakiegokolwiek rozsądnego działania. Odchyliłem zasłonę i wystrzeliłem do niskiego grubego mężczyzny. Padł. Zostało ich jeszcze dwóch, a ja pozbawiłem się jedyne naboju. Zacząłem więc wykrzykiwać do tych zbójców, że oddam im wszystko czego sobie zażyczą, w zamian niech tylko puszczą mnie i moją żonę wolno. W odpowiedzi usłyszałem krach wrywanych drzwi po stronie siedzenia mojej ukochanej. Dalszą część przemilczę.

Nastała cisza. Żaden z Panów nie otwiera ust, starszy z nich siedzi z głową uniesioną jakby chciał okazać, że jest z czegoś dumny. Młodszy natomiast, na moje oko, wydaje się być o wiele bardziej skrupowany niż życzyłby sobie to okazać. Zapewne zastanawia się nad tym, jak w tym momencie wygląda, widziana z boku, jego twarz. Cisza tylko pogarsza sytuację. Nikt się nie odzywa, a powietrze zdaje się na siłę wpychać moim aktorom do płuc błagając o najmniejsze chociaż zdanie....W zasadzie to myślę, że chyba lepiej byłoby, gdybyśmy pozostali w ciszy. Teraz jest dobrze. Cisza mówi sama za siebie. Jest piękna o tyle, że nie musi mówić nic, a i tak wypowiada słów wystarczającą ilość. Szkoda tylko, że ta akurat cisza jest smutna. Nie musiałoby tak być. Jakby nie patrzeć, to nie ma się czym zasmucać - każdy umrze, a przejmowanie, mogę zagwarantować, bardzo pomaga

w przybliżeniu się do nieuchronnego. Muszę z kolei przyznać, iż potrzeba takowej refleksji nad swoimi dotychczasowymi poczynaniami od zawsze wywoływała u mnie swego rodzaju niezręczność. Nie powiedziałbym, że brakuje mi współczucia, a na pewno nie można powiedzieć złego słowa o mych ubytkach w miłości: jednak nie umiem zjednoczyć się w tym, bardzo ludzkim zresztą, opłakiwaniu swojej własnej egzystencji. Jesteśmy, gdzie jesteśmy. Gdyby komuś nie podobał się stwierdzony przeze mnie niezaprzeczalny fakt to widzę z tej sytuacji jedno tylko wyjście. Żadna jednostka żyjąca, która kiedykolwiek przewinęła się przez ten świat nie miała, przez najkrótszą choćby chwilę, nawet najmniejszej kontroli nad jakimkolwiek aspektem swojego życia, a jednak wszyscy nieustannie do niej dążą. Czyż nie lepiej przejść się po mieście i posłuchać odgłosów cywilizacji, która jest największym, jak do tej pory osiągnięciem? Nie lepiej zakupić pociągowy bilet i wybrać się do Paryża na parę dni, żeby odsapnąć od tej, skądinąd męczącej, zbieraniny ludzkiej? Zatopić się w myślach i zadbać o nie przynajmniej od czasu do czasu? Można przecież poczytać poetów i pisarzy, którzy swój geniusz pracowicie przelewali na papier tylko po to, żeby umilić wam życie na tym mizernym padole. Zdaje wam się, że znaleźliście się przed ogromną, usypaną przez waszych przodków, stertą brązowych bursztynów i nie pozostaje nic lepszego, jak tylko zanurzyć się w tę nieskończoną otchłań, ażeby odnaleźć najdorodniejszy okaz, którym pochwalić się będzie można wszystkim dookoła. Wiecie dobrze, że tak nie jest. Po chłopsku usypana fura końskich fecesów - to jest wasz świat. Założyliście nieprzepuszczające słońca ciemne okulary i widzą wam się kamienie. Skoczcicie, bo innego wyboru nie macie. Upaskudźcie się w błocie i zakrzyknijcie o tym jak piękne jest życie. Trzymajcie głowę w piasku tak długo, aż zabraknie wam tchu i zaczniecie się dławić swoimi myślami.



Przecież to takie proste.

- Wpędziłem Pana w zakłopotanie...

- Och absolutnie. Jeśli ktokolwiek jest tutaj czemuś winny, muszę to być ja.

- Czasami opadam z sił... Nie wiem, co powiedzieć, żeby nie rozdrapać ran, które powziąłem sobie chronić, chociaż dobrze wiem, że muszę zedrzeć wszystkie strupy. Jeden za drugim.

Językiem zaczynają mówić poetyckim. Nie rozumiem tego. Wcześniej rozmawiali najzwyczajniej, po ludzku, a teraz zachowują się jakby temat ich debaty wymagał wejścia na wyższy poziom semantyczno-duchowego zaangażowania.

- Zauważając, iż weszliśmy już na tak poważne tematy mam do Pana pytanie natury, jak mniemam, mniej intymnej niż poprzednie.

- Słucham.

- Jest Pan osobą wierzącą?

- Pyta Pan o wiarę w Boga czy bycie osobą wierzącą?

- Nie sądziłem, że jest jakaś różnica. Interesuje mnie Pana stosunek do tego, co stało się z pańską żoną po jej odejściu.

- Nie spodziewałem się, że wypowiem kiedyś te słowa, a tym bardziej, że skieruję je w Pana kierunku. Jestem, drogi panie, przepelniony nadzieją.

- Stąd, za przeproszeniem, pańska łatwość w mówieniu o tej tragedii z odrobiną dystansu... Nie powinienem był...

- Zrozum mnie proszę tak jak człowiek potrafi człowieka zrozumieć. Tak, stąd właśnie bierze się, jak pan to ujął, łatwość. Dogłębnie wierzę, że nie dzieje jej się zło.

- To bardzo piękne.

- „Wiara jest pewnością tego, czego się spodziewamy, przeświadczeniem o tym, czego nie widzimy”. Z Hebrajczyków.

I nareszcie zasłona rozdarła się na dwoje, a skały zaczęły pękać. Albowiem powiadam wam, po wypowiedzeniu tych słów natura relacji obu Panów zmieniła się bezpowrotnie. Tak mi się zdaje.

- Pan wierzy?

- Sam nie jestem pewien. Modlę się często, aczkolwiek tylko ze względu na to, że bardzo tego potrzebuję.

- Boga czy modlitwy?

- Nie rozumiem...

- Potrzebuje pan Boga czy modlitwy?

- Myślę, że jedyne, czego mi potrzeba, to pewności. Ludzkiej pewności w nieludzkich sprawach.

- Chodzi o zbawienie?

- Nigdy nie chodziło o zbawienie. O miłość się rozchodzi.

- Aha.. Czyli nigdy nikogo pan nie kochał?

- Jak miałbym wiedzieć?

- Nie wie pan, jak to jest być zakochanym?

- Jak dowiedzieć się o tym, czy wiem o tym, jak to jest być zakochanym?

- Pyta pan czy ironizuje?

- Pytam.

Uśmiechnął się.



Ateny zdawały się wiecznie rosnać i piąć do góry. Wieże wbijały się w niebo, jakby przekuwając słońce. Na ulicach tłoczyły się chmary ludzi. Wszyscy pędzili niby w transie. Kroki zagłuszały ludzkie głosy. Czyżby uciekali przed sobą nawzajem? Gdyby spytać, nikt by nie odpowiedział. Nie było nic tak głośnego jak cisza w Atenach.

Dedal niepewnie zapuściła się w głąb miasta. Słońce srogim wzrokiem odprowadziło ją na Forum.

Tutaj tysiące głosów mówiło różnymi tonami. Ludzie bez twarzy rozmawiali, kłócili się, skakali sobie do gardeł. Stali na różnych stopniach ogromnej piramidy. Nikt z niższych nie mógł sięgnąć wyżej. Im dalej od spodu, tym mniej ludzi.

Na samym szczycie, na złotym podium, stało jedynie kilka osób. Nie było ich tylu, by sami wypełnili choćby połowę przestrzeni. Braki w liczbach uzupełniali wielkimi szatami, mieniącymi się jaśniej niż słońce i obszernymi stołami, bardziej dostosowanymi do gigantów niż ludzi.

Dedal poczuła silny uścisk na swoim ramieniu.

– Nie wejdiesz bez tego.

Strażnik wcisnął jej w rękę szarą maskę na całą twarz, z jedynie małymi otworami na oczy. Spojrzała na niego. Z wyglądu nie mogła stwierdzić, czy w ogóle był człowiekiem.

– Nikt tam na górze nie nosi maski – odparła.

– Wydaje ci się.

Czuła, że uważnie ją obserwował, dopóki nie zakryła twarzy. Wtedy zniknął w tłumie, jak gdyby nigdy go tam nie było.

Co chwila popychana przez przechodzących ludzi, ruszyła dalej na pierwszy stopień piramidy. Dalej na drugi. Gdy wyciągnęła dłoń, by wspiąć się na trzeci, jęknęła z bólu. Nie starczyło jej ręki. Każdy kolejny stopień dzieliła od poprzedniego coraz większa przepaść. Sama piramida zdawało się rosnać z chwili na chwilę, wraz z całym Atenami.

Tylko na tyle było ją stać? Drugi stopień, gdzie jej głos ginął wśród miliona innych?

Nikt jej nie odpowiedział. Mijały godziny, a następny stopień był tylko dalej i dalej. Zrezygnowana próbowała rozmawiać z ludźmi na jej wysokości. Prezentować swój pomysł, pokazywać projekty. Mało kto zwracał na nią uwagę. Inni robili to samo, a ona była ziarnkiem piasku na plaży.

Nie pozostało jej nic, tylko za dnia próbować dalej, wołać, desperacko starać się zwrócić na siebie uwagę. W nocy przechodziła do świata Snu. Tam rozmontowała kolejne zegary, budując swój prototyp, udoskonalając projekt. Gdyby miała pozostać na Jawie,

dawno by ogłuchła, ale tutaj, w jej idealnej pracowni, mogła zebrać myśli i przekształcić je w coś wyjątkowego. Dzeus rośla w jej oczach. Po miesiącach miała już piękne, delikatne dłonie i oczy ze złotych trybików. Gdzieś między szatą z tarcz zegarowych a miedzianymi włosami kryła się potęga. Była wielkim marzeniem powołanym do życia. Pewnej nocy Dedal zdrząła, patrząc na swój twór. Dzeus uśmiechała się do niej.

Gdy po następnym dniu znów wróciła do Snu, nie była tam sama.

Poznała tego człowieka. Widziała już tę szatę, niby ze szkła. Głębokie, ciemne oczy wyglądały wcześniej zza ogromnego biurka. Obserwowała go z dołu piramidy. Nigdy nie podejrzewałaby, że on mógłby dostrzec ją z samej góry. Jednak był teraz, w jej skrawku świata Snu. Okrążał Dzeus, przyglądając się jej ze spokojnym uśmiechem. Wyglądał nawet na lekko rozbawionego. Przemówił bez spoglądania na Dedal.

– Doprawdy, wspomniały projekt. Jestem pod wrażeniem. Widzę tu potencjał.

Dopiero po chwili milczenia odwrócił się w stronę kobiety. Nie pokazywał przy tym choćby cienia zakłopotania.

– Dedal, prawda? Jestem tu z propozycją... Współpracy.

Podał jej wizytówkę. Nazwisko było zapisane czarnymi literami na szczerym złocie. Midas.

– Czego pan oczekuje? – spytała, niepewnie biorąc od niego tabliczkę.

– Że podzieli się Pani swoją wizją. Mam materiały i ludzi. Pracuję z najbardziej tęgimi umysłami tego świata. Jeśli do mnie dołączysz, twój projekt dostanie przyszłość, na jaką zasługuje. Przecież o to Pani chodzi, prawda? O stworzenie czegoś, co zrewolucjonizuje rzeczywistość. Ja tylko chciałbym być tego częścią. Rzecz jasna, później ustalimy dokładne udziały...

„To może być moja jedyna szansa” – myślała. „Pieniądze? Niech bierze wszystkie! Tylko Dzeus się liczy. Dzeus i nadzieja, którą ma przynieść dla świata Jawy. Jakiej ceny on może zażądać, która nie byłaby warta takiego celu?”

Midas wyciągnął dłoń w jej stronę. Chwyliła ją, jak ostatnią deskę ratunku.

Myślę sobie czasem

Myślę sobie czasem, umrę niepojęcie
Myślę sobie czasem, zniknę na zakręcie
Tępo patrzę w twarze, w oczach się odbijam
Tępo patrzę w serca, krwi rytm mnie dobija

Chodź do mnie nacichła dźwięków burzy drzeniem
Utop mnie kolorem przesiąkniętym deszczem
Przeszyj mnie powietrzem niepowypełnianym
Trwaj najpierw przez moment, może z czasem wiecznie

Wielkanocna gęś

Wielkanocny nastrój już
Trzeba z półek zetrzeć kurz

W ten świąteczny, piękny czas
Zając nie ucieszy nas

Żurek to przejrzały chłam
Więc alternatywę mam

Z cienia dziś wychodzi gęś
By rodziną wzmocnić więź.

Niechaj spełni swoją rolę
I króluje na twym stole

Walić palmy walić baranki

Gęś wyłania się z pisanki

Gęś nad wielkanocne baby

I nędzne z majerankiem schaby

Dość rządów białej kielbasy

Skosztuj gęsi pierwszej klasy

Przy śniadaniu, przy obiedzie

Gęś z jabłkami do was jedzie

Abyście poczuli moc

W tę niezwykłą Wielką NOC

Exegi monumentum

Martyna Nowak

nie jestem ptakiem

pióra wymykają się

spomiędzy kruchych palców

niech płonie!

kartki druki słowa wiersze i od nowa i odnowa

niech spłonie!

płomień trawi łączne trawy i wątrobę łączną z sercem

nie gaśnij!

jeszcze jedno tchnienie i natchnienie płuca wypełni wspomnienie

nad popiół się wzniosę!.. –

upadnę

płoną zgliszcza

sen się ziszcza

marmur pęka, wosk się topi

ogień szepce
memento mori
w zgiełku pożogi
giną słowa przestrogi
w dali falą zdradliwą
szumi ocean
memento oblivion

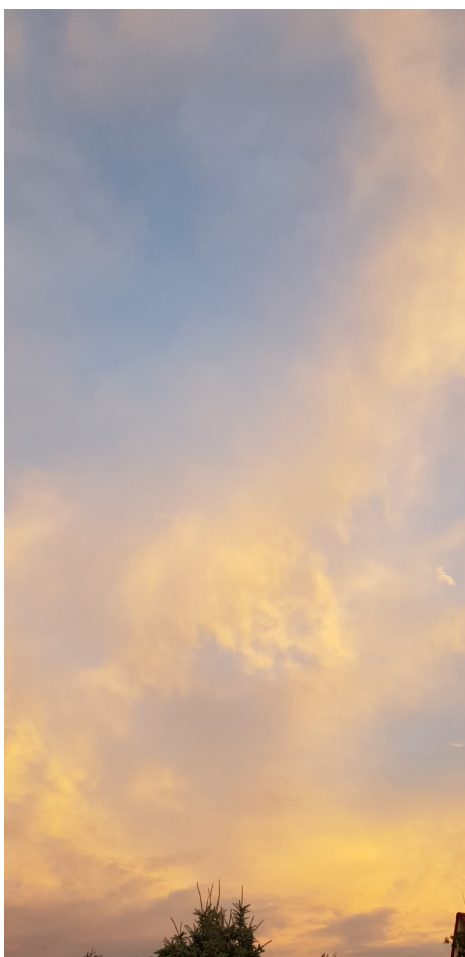
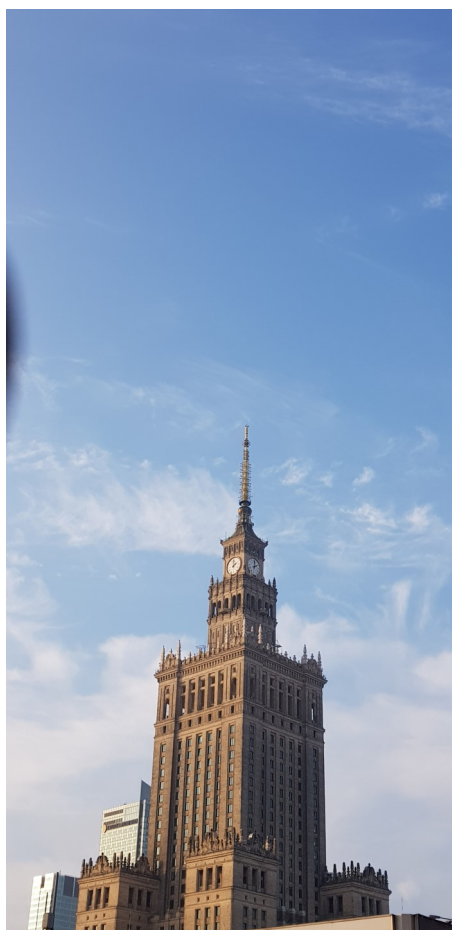
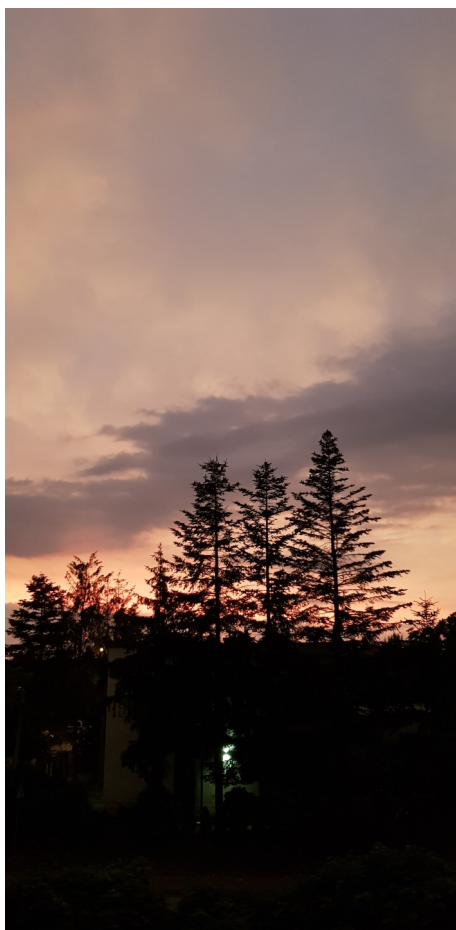


Laura Bieroza

Fotografie - niebo









Fotografie - solidarność

Ignacy Bojarski





Złote usta



„M.K.: Where do you have the answers from?

U: Maciek gave me them

M.K.: And do you believe everything Maciek says?

U: Yes, I do believe him

M.K.: So do you believe everything Putin says?”

~ p. prof. Mariusz Kiecana

„No to zrobimy sobie *Dziady*. Bo na *Dziady*, drodzy państwo zawsze jest czas”

~ p. prof. Michał Deniziak

„L.K.: Co mógł dostać rycerz od seniora?

cisza

L.K.: No, w łeb na przykład ”

~ p. prof. Leszek Kozłowski

„Po co dawać ludziom 500 zł? Żeby przepili, przepili wszystko!”

~ p. prof. Przemysław Poniatowski

„I teraz może mnie ta prędkość początkowa pocałować w tyłek”

~ p. prof. Michał Feigel

„Wy w ogóle nie rozumiecie treści religijnych. Nie jesteście już homo religiosus, tylko homo atheiosus”

~ p. prof. Bogumiła Kozyra

„Miś jest niebinarny i aseksualny, a Prosiaczek nie jest, bo ma majtki, a Miś nie ma”

~ p. prof. Leszek Kozłowski o Kubusiu Puchatku

„Radom jest dalej niż słońce, bo słońce przynajmniej widać”

~ p. prof. Maciej Ilcewicz

„ To był obszar, gdzie śrubokręty rosną i konie gwizdzą palcami”

~ p. prof. Leszek Kozłowski

„Zastanawiam się, gdzie Dante umieszcza takich, którzy się spóźniają. W którym kręgu piekielnym?”

~ p. prof. Edyta Ołdakowska-Dębek

„O, nity się rozpadły... Wszyscy się tak rozpadniemy”

~ p. prof. Edyta Ołdakowska-Dębek, komentując upadek ucznia spowodowany defragmentacją krzesła